Rok XIV. Nr. 4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał IV.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

Konsekracya Kościoła naszego w Tarnowie str. 109.
Misye we wschodniej Galicyi str. 218.
List ks. Superyora Mięsopusta do ks. Wizytatora str. 227.
U Konfratrów w Konstantynopolu str. 234.
Trzy domy Zgromadzenia w Paryżu str. 242.
Schematyzm Zgromadzenia z r. 1708 str. 248.
Kronika str. 252.
Dekreta Stolicy św. str. 267.
Pro memoria str. 268.
Ś. p. ks. Izydor Rugenius str. 269.
Zmarli Misyonarze str. 271.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1908 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

NR 4

Konsekracya kościoła naszego w Tarnowie.

(List ks. Superyora Tyczkowskiego).

Przepraszam bardzo Szanowną Redakcyę naszych Roczników, że dziś dopiero, czyniąc zadosyć jej życzeniu, przesyłam tych kilka słów o poświęceniu i konsekracyi kościoła naszego w Tarnowie. Mimo nawału pracy chętnie chwytam za pióro, nietylko, aby słowa dotrzymać, ale także i dlatego, żeby następcom naszym w Zgromadzeniu przekazać to, co się w prowincyi naszej robiło i skąd i jak fundacye domów naszych i kościołów powstawały.

Było to w połowie listopada 1903, kiedy pod wieczór przybył do Krakowa na Kleparz Najprzew. ksiądz Biskup z Tarnowa, Dr Leon Wałęga, i prosił o naszych konfratrów do Tarnowa, ofiarując miejsce pod dom i kościół, a nadto 30.000 koron na początek. Ówczesny ksiądz Wizytator Kiedrowski zgodził się na fundacyę pod warunkiem, jeżeli Najprzew. Ojciec Jenerał fundacyę tę zatwierdzi. Niedługo potem przyszła z Paryża odpowiedź przychylna, tak że już dnia 1. grudnia wysłany zostałem przez księdza Wizytatora do Tarnowa, abym wszedł w bliższe warunki i szczegóły z Najprz. księdzem Biskupem. Trzy miejsca były do wyboru; wybrałem to, na którem teraz kościół stoi, naprzód dlatego, że przy głównej ulicy, a potem, że właśnie ta część miasta pomocy duchownej potrzebowała najwięcej. Dnia 1. lutego wyjechałem wraz z księdzem Truszkowskim na stałe do Tarnowa. Zamieszkaliśmy przy ulicy Bernardyńskiej w domu ks. dra Szczeklika, profesora Seminaryum duchownego, nabożeństwa zaś odprawialiśmy w kościółku Najśw. Panny Maryi, w dzielnicy Burek zwanej, a nadto wzięliśmy w opiekę duchowną szpital tutejszy. Najprzew. ksiądz Biskup cieszył się niezmiernie nami

i nietylko wiktowaliśmy się u Niego, ale i większą sumą pieniędzy dopomógł nam do umeblowania pokojów naszych. Trzeba się było oglądnąć za funduszami, potrzebnymi do budowy kościoła i domu. W marcu 1904 wydaje Najprzew. ksiądz Biskup osobną kurendę do kleru i ludu dyecezyi Tarnowskiej w sprawie naszej — a ja odtąd stale zaczynam wyjeżdżać w niedziele i święta, objeżdżając kolejno prawie wszystkie parafie dyecezyi. Duchowieństwo i lud chętnie nam szli z pomocą do uskutecznienia naszego dzieła. Dosyć znam nasz kraj, Galicyę, ale śmiało mogę powiedzieć, że ofiarniejszego duchowieństwa i ludu niema, niż w dyecezyi Tarnowskiej. Bywały wypadki, że do niektórych parafii, które albo same restaurowały kościoły, albo też były liczebnie małe, nie chciałem jechać, a na nalegania księży i ludu musiałem; bo wszędzie Bóg dobry znalazł sobie ofiarodawców.

Ofiary płynęły z wszystkich dzielnic Polski. To też d. 26. kwietnia 1905 poświęciłem miejsce pod kościół, ofiarowane przez wspaniałomyślną księżnę Konstancyę Sanguszkową. Poświęcenie miejsca chciałem cichaczem zrobić, ale lud się dowiedział; przybyła zaraz procesya i mnóstwo ludzi z miasta. Widząc tak licznie zgromadzonych, przemówiłem o ważności chwili tej, a po skończonej nauce wszystko wzięło łopaty i kilofy, tak lud prosty, jak panowie i panie, aby kopać fundamenta — co za wzruszająca chwila.

Twórcą planu na kościół nasz jest p. dr. Zubrzycki, architekt z Krakowa. Sam kościół jest bazyliką gotycką, opartą na pierwiastkach odcienia nadwiślańskiego. Uderzają one przedewszystkiem w zastosowaniu do architektury wątku ceglanego i kamiennego — w przybraniu okien laskami pionowemi, kamiennemi, bez zastosowania przeźroczy koronkowych — w użyciu wewnątrz do przedziału między nawami filarów, ściśle na wzorach szkoły krakowskiej XV. wieku opartych — a łęki gotyckie mają tę właściwość, że nie są bardzo strzeliste, ale przysiadłe, niewiele podniesione. Na zewnątrz dominującymi przedmiotami są obie wieże po 67 metrów wysokie i sygnaturka w kształcie trzeciej wieżyczki, na skrzyżowaniu naw się wzno-



Kościół Ks. Ks. Misyonarzy w Tarnowie.

sząca. Długość kościoła wynosi 61 metrów, szerokość w nawie krzyżowej 30 metrów, a wysokość w sklepieniu kopuły 21 metrów.

Po poświęceniu miejsca pod dom Boży szły roboty raźno, tak że już dnia 10. września 1905 Najprzew. ksiądz Biskup poświęcił kamień węgielny, a prześliczne kazanie, zastosowane do uroczystości, wypowiedział znany kaznodzieja ks. Infułat Walczyński. Kto był w tym dniu w Tarnowie i widział ten zapał i wiarę naszego polskiego ludu, to chyba nigdy go nie zapomni. To była ważna chwila w uskutecznieniu naszych budowli. Odtąd z większą gorliwością i z większym zapałem brano się do dzieła — wszyscyśmy pragnęli, aby kościół stał już pod dachem. Ofiary się zdwoiły, zwłaszcza od ludu polskiego z pod panowania pruskiego, a nawet z Ameryki. Czyż to nie śliczny przykład: przychodzi do mnie do zakrystyi kobieta staruszka, mająca 86 lat, i daje mi 6.000 koron na kościół pod warunkiem, żeby nikt o tem nie wiedział, tylko Jegomość i P. Jezus. W pierwszej chwili nie wiedziałem co począć i mówię: A co krewni na to powiedzą? A ona powiada, że krewnych blizkich nie ma, a dalecy dostali już swoje. Mówię dalej: a co będzie z pogrzebem? Ale staruszka zapewnia mnie, żebym był o to spokojny, bo cały pogrzeb już naprzód zapłacony. Albo jak nie wspomnieć o jednej biednej służącej, która 52 lat służyła, coś sobie uskładała na stare lata i właśnie to coś, wynoszące 600 kor., przyniosła mi na kościół i przepraszała, że tylko tyle może Panu Jezusowi ofiarować. Taki jakiś zapał ogarnął wszystkich, że jakiś gospodarz ciężko chory kazał się przynieść przeszło 5 mil do Tarnowa, aby budujący się kościół zobaczyć i mówił mi, że już teraz spokojnie będzie mógł umierać, bo przed śmiercią był na tem świętem miejscu, na którem P. Bóg tyle chwały miał mieć. A jakże nie wspomnieć o kapłanach i o całej inteligencyi miasta Tarnowa. Wszyscy Urzędnicy ze sądu, z poczty, z kolei żelaznej, z magistratu, formalnie się opodatkowali i co miesiąca swoje raty na budowę kościoła mi przysyłali, a mieszczanie w pewnych porach roku



Księżna Konstancya Sanguszkowa
główna dobrodziejka kościoła i domu naszego w Tarnowie.

chodzili w liczbie 12 od domu do domu i zbierali na ten cel kolekty. Często myślałem i rozważałem tę wielką wiarę i gorliwość naszego ludu i uwielbiałem dobroć Bożą i Jego Najśw. Opatrzność.

Dnia 11. września 1907 poświęcił znów Najprzew. ksiądz Biskup dzwony, sprawione przez Radę miejską, przez księżnę Sanguszkową i przez jednego gospodarza z Tarnowa. Ceremonia to rzadka i wspaniała, więc kto żył, brał udział w tej uroczystości, nawet większe fabryki, przy których nawet w niedziele musi jakaś część ludzi pracować, w tym dniu musiały być bezczynne, bo robotnicy wszyscy pouciekali, aby być na tej uroczystości. Dzień 23. maja 1908 był także ważnym dla nas w Tarnowie, to poświęcenie naszego nowego domu. Skorzystałem z tego, że kochani Księża Konfratrzy zbierają się na konwent nasz prowincyonalny, i zaprosiłem wszystkich we wigilię konwentu do Tarnowa. Było nas 33 kapłanów Zgromadzenia; była to uroczystość cicha, rzewna, familijna i pełna nastroju duchowego. Poświęcenia domu dokonał Czcigodny ksiądz Wizytator Słomiński, a po poświęceniu przemówił do obecnych na temat, jak winniśmy uwielbiać dobroć Bożą, która tak uwidoczniła się w budowie tego domu i jak nas to uwielbienie powinno zachęcać do zamiłowania reguł i powołania naszego. Dom był już gotowy, a kościół na wykończeniu, wszyscy się pytają, kiedy będzie poświęcenie kościoła. Panie ciągle przychodzą, biorą miarę na bieliznę kościelną, inne pytają, czy mamy już kielichy, wszyscy czują, że zbliża się chwila najważniejsza, a tu jeszcze tyle do pracy, zwłaszcza koło kościoła: doły pozawalać, gruz rozwieźć i ubić; ale jakoś tak się z tem uporaliśmy, że dzień czwarty października w uroczystość Matki Bożej Różańcowej mogliśmy wyznaczyć na dzień konsekracyi kościoła. Wszyscyśmy tylko prosili P. Boga o pogodę, bo od kilku tygodni deszcz lał codziennie prawie, ale i tu nas P. Bóg miłosierny wysłuchał: już kilka dni przed konsekracyą słoneczko ładnie przygrzewa, koło kościoła ruch i gwarno, panny z miasta i panie wiją wieńce, sąsiedzi się zbiegają, stawiają bramę tryumfalną przed



Dom Ks. Ks. Misyonarzy w Tarnowie.

kościołem, z obu wież powiewają chorągwie o barwach kościoła, kraju i miasta. Dnia 3. października w samo południe przyjechali ksiądz Wizytator Słomiński a z nim bardzo sympatyczny gość z Paryża, umyślnie na tę uroczystość wysłany przez Najprzew. naszego Ojca Jenerała, ks. Emil Villette, prokurator generalny Zgromadzenia, a od Lwowa nadjechał czcigodny ks. Kiedrowski. Po południu o godzinie 5. przybył Najprzew. ksiądz Biskup, przywożąc ze sobą relikwie Świętych, które nazajutrz we wielkim ołtarzu miały być zamurowane. W niedzielę rano nadciągnęło nawet z dalszych stron bardzo wiele ludu, który chciał być uczestnikiem tej pięknej a rzadkiej uroczystości. Sam akt konsekracyi zaczął się o godz. 7. rano, tymczasem ludu coraz więcej napływało, wszystkie cechy i stowarzyszenia tutejsze w komplecie zebrane, niektóre z muzyką na czele, 200 panów jako straż obywatelska utrzymuje porządek. O godzinie 11. Najprzew. ksiądz Biskup wyszedł ze sumą, podczas której przy akompaniamencie muzyki wojskowej doborowy chór wykonał liturgiczne śpiewy, a ks. Infułat Walczyński podniosłe o dobrodziejstwach kościoła wygłosił kazanie. Po skończonem nabożeństwie odbył się w domu naszym obiad dla zaproszonych gości, wśród których, prócz ks. Biskupa i bardzo wielu księży miejscowych i zamiejscowych, zasiedli przedstawiciele władz politycznych, wojskowych i autonomicznych. Z różnych toastów wymienić należy toast Najprzew. księdza Biskupa na cześć Papieża i Cesarza, których jubileusze rządów upamiętni data nowo poświęconej świątyni, ks. Wizytatora Słomińskiego na cześć księdza Biskupa. Po nich przemówił nasz miły gość ks. Emil Villette po francusku, wyrażając się z wielkiem uznaniem o Polakach, którzy bez względu na stanowisko społeczne i przekonania polityczne, jak dzieci jednej matki łączą się u stóp ołtarzy Pańskich. Na przemówienie to odpowiedział burmistrz miasta Dr Teofil Tertil również po francusku, stwierdzając faktami historycznymi poszanowanie Polaków dla wiary i Kościoła, poczem serdecznemi słowy powitał tak życzliwie dla Polaków usposobionego gościa księdza Villette.

Następnie, mówiąc już po polsku, uczcił jako reprezentant miasta podniosłą chwilę konsekracyi nowej świątyni, wyrażając przytem radość, że sąsiednie gromady robotników fabrycznych i rolników znajdą tu ochłodę i otuchę do pracy. Nakoniec podniósł zasługi Ks. Ks. Misyonarzy, których staraniom zawdzięcza miasto tak trwałą i wspaniałą ozdobę. W odpowiedzi na to uznanie, wypowiedziane publicznie, zwróciłem się do obecnych przedstawicieli gminy miasta Tarnowa, dziękując tak im, jak i wszystkim dobrodziejom, za poparcie tak zbożnego dzieła, jakiem jest ta nowa świątynia pod wezwaniem Najśw. Rodziny.

Popołudniu po nieszporach odbyła się po mieście wspaniała procesya, na której wystąpiły znów wszystkie stowarzyszenia tarnowskie i w której do 25.000 ludzi brało udział. Ulice, któremi procesya przechodziła, były iluminowane, a domy pięknie przystrojone. Wieczorem wróciła procesya do kościoła, w którym płonęło już całe morze światła. Następnego dnia odbyło się nabożeństwo na intencyę wszystkich fundatorów kościoła, które odprawił Czcigodny ks. Villette. I tak się skończyła ta rzadka a wspaniała uroczystość, która głęboko zapisała się w sercach Tarnowa i okolicy.

Jakże tu nie uwielbiać Boga w dobroci nieprzebranego, który w tak krótkim czasie, bo w niespełna 5 latach zgromadził przeszło pół miliona koron na budowę domu i kościoła. To też cała ufność moja w tej dobroci Bożej, że i dług ciężący na kościele nietylko wkrótce spłacę, ale i kościół wewnątrz ołtarzami i potrzebnymi aparatami przyozdobię. Wszystkim zaś Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom Roczników składam serdeczne Bóg zapłać za niejednokrotną pomoc doznaną i o łaskawą pamięć nadal proszę.

Ks. Stanisław Tyczkowski.

Misye we wschodniej Galicyi.

W jesieni roku 1908.

Malechów. Wioska tej nazwy, 3 kilometry od Lwowa, na trakcie żółkiewskim położona, licząca zaledwie 1500 dusz, miała zapoczątkować jesienny sezon naszych wycieczek misyjnych. Ks. proboszcz Wolańczyk, opierając się na obietnicy, danej mu przez dyrektora misyi księdza Rossmanna, zwrócił się w początkach września do nas na Kleparz z prośbą o odprawienie w jego parafii pięciodniowej misyjki. Rzecz prosta, słowa dotrzymać trzeba, ale kłopot, kto się podejmie dzieła. Stała partya misyjna się rozpadła. Ksiądz Rossmann, wódz i dusza organizacyi misyjnej, poszukał sobie szerszego pola pracy w Ameryce północnej, ksiądz Szymbor przeszedł w stan spoczynku, pozostał się jeden z pośród trzech jedyny, wracający trwożliwie i chwiejnym krokiem na pole walki. Spojrzał wokół siebie i serdecznie zatęsknił za druhami swymi. Lecz im nie spieszno wracać do szeregu, a tu czas nagli, do pracy stanąć trzeba, w niej uciszyć tęsknotę za dawnymi, a szukać sobie sprzymierzeńców nowych, z nimi się zżyć, z nimi pracę misyjną zrozumieć i ukochać. „Radzi Pan Bóg o swej czeladzi“ i zaradził tak, że przy boku moim stanął konfrater z Kleparza ks. Wiktor Bieniasz. Podobni sobie, bo wzajemnie w zasób sił fizycznych wątpiący, jednak silni wiarą w Opatrzność Boską, ruszyliśmy ku Lwowu w niedzielę dnia 27. września popołudniowym pociągiem pospiesznym. Ponieważ misya w Malechowie miała się rozpocząć w wilię dorocznego odpustu św. Michała, zamówiłem konie do Lwowa na godzinę drugą. Nie mogąc się ich doczekać, ruszyliśmy w straszliwą ulewę najętym fiakrem na miejsce przeznaczenia. Właśnie odbywały się nieszpory, którym uroczystego nastroju

dostarczył zastęp wiernych, z 15 kobiet złożony. Łatwo pojąć nasz nastrój i usposobienie. Początek misyi zapowiedziany na te właśnie nieszpory; zdawałoby się, że lud tutejszy chyba ławą na początek ruszy, samą ciekawością wiedziony, a tu frekwencya niżej krytyki. Ale czekajmy jutrzejszego odpustu; rozpoczęcie misyi na sumie zadecyduje o dalszym jej postępie. Tymczasem oczekiwaliśmy powrotu księdza proboszcza z kościoła. Po zwykłych ceremoniach powitania sprowadził on rozmowę na temat moralnego stanu parafii, streszczając go w tych słowach: „Od ostatniej misyi ubiegło lat 23. Objąłem parafię przed niespełna dwu laty po starcu wiekiem i pracą złamanym. Wziąłem się do pracy, świadom swej odpowiedzialności. Odnowiwszy kościół wewnątrz, zwłaszcza ołtarze, w których myszy niepodzielnie panowały, począłem budować Kościół Boży w duszach ludzkich. Zgrzyt niezadowolenia przeszedł po moich parafianach, kiedy tknąłem się ich tradycyi i przywilejów, ni prawem Boskiem ni ludzkiem uświęconych. Podrażniłem ich miłość własną kosztem mej gorliwości duszpasterskiej i stworzyłem sobie obóz nieprzyjacielski, skąd do dziś odbywają się wycieczki przeciwko mej osobie i moim prawom. Małe to wprawdzie stronnictwo, ale gniazdu szerszeni podobne. Reszta natomiast ludu mojego niekoniecznie zła. Są błędy, lecz wyrosłe raczej na podścielisku zaniedbania i skrajnego materyalizmu, jak zwykle w parafiach podmiejskich. Kościoła nie lubią, przynajmniej parafialnego, bo wychodząc w niedziele i święta na targi do Lwowa, bywają na nabożeństwie tam, albo nigdzie. A już w dzień powszedni kościół pusty i niema komu do mszy św. służyć. Głównemi ich wadami to pieniactwo o lada głupstwo i pijaństwo, którego siedliskiem uprzywilejowane karczmy malechowskie na przedmieściu żółkiewskiem. Tam wsiąka połowa ich zarobku, na rynkach i targach zdobytego. Przy tem wszystkiem lud rozgarnięty, po wielkomiejsku grzeczny, nawet elegancki, mówiący czysto po polsku i narodowo wcale uświadomiony, skutkiem czego do pewnego stopnia butny i pewien siebie. Socyalizm tu zdobyczy znaczniejszych nie poczynił, bo serce

mych parafian dobre, choć pyłem ułomności ogólno-ludzkich przyprószone".

Na tle tej charakterystyki parafii mieliśmy osnuć pracę i przemowy swoje. Mnie żywo w pamięci stanęły słowa jednego z naszych byłych dyrektorów misyi, pod którym stawiałem pierwsze kroki, kiedy otrzymaliśmy propozycyę, by w jednym z podmiejskich dekanatów misye odprawiać: „Szkoda trudów i sił naszych, — mówił — praca około ludu podlwowskiego, to rzucanie grochu o ścianę".

Ale moc Boska nadewszystko, pomyślałem sobie i zachęcony słowy swego towarzysza księdza Bieniasza, wyszedłem z nauką wstępną na sumie w dzień odpustu św. Michała. A żeśmy sobie założyli łagodnością, sercem i miłością ich naciskać, skutek pierwszej nauki był ten, że cały kościół szczelnie nabity, gromko i jednogłośnie obiecał brać udział w misyi, czego wiernie aż do końca dotrzymali. Prawdę mówiąc, mogli byli słowa nie dotrzymać, bo w pierwsze dwa dni deszcz lał jak z cebra, w dwa zaś następne nadspodziewana pogoda powinna ich była pchnąć w pole do ziemniaków. Lecz tu stanęła w poprzek łaska Boża, poruszająca głębie sumienia. W popołudniowem kazaniu dnia pierwszego mój towarzysz ks. Bieniasz ogniem wymowy swej wprost elektryzował serca tych biednych zbłąkanych owiec, a głośne ciężkie westchnienia świadczyły o silnym przetwórczym procesie, jaki się rozgrywał w ich duszach. Potęga słowa Bożego to ogień lód topiący, to młot skałę kruszący, mówi Pismo św.; tej siły przedmiotem stali się parafianie Malechowa, a my jej świadkami, zwłaszcza u schyłku misyi, kiedy wszyscy bez wyjątku zapisali się do bractwa Trzeźwości, a w ostatni dzień rozrzewnieni w liczbie 700 przystąpili do stołu Pańskiego. W słuchaniu spowiedzi pomoc była dość skąpa z tej racyi, że wizytacya kanoniczna w ościennym Kukizowie zabsorbowała siły robocze. Pomagali nam: ks. Ferdynand Stec, znany mi z Hnilcza, ks. proboszcz z Jaryczowa, księża Lach i Bielawski przez dwa popołudnia, nadto dwóch księży Karmelitów, których nam przysłał przezacny O. Przeor Haber ze Lwowa, tudzież

Gwardyan O. O. Kapucynów z Zamarstynowa. W czwartek wieczór raczył nas zaszczycić swą wizytą Najprzew. ksiądz arcybiskup Bilczewski ze swoim sekretarzem księdzem Nowowiejskim, wracając przez Malechów do Lwowa z wizytacyi w Kukizowie. Ku najwyższemu zbudowaniu dla wszystkich siadł do konfesyonału i spowiadał blizko godzinę, poczem pełen zadowolenia z wyniku misyi, nas pobłogosławił i w ciemną noc ruszył do Lwowa. W piątek dnia 3. października zakończyliśmy pracę postawieniem krzyża misyjnego, poczem ksiądz Proboszcz w końcowej przemowie do ludu wykorzystując przezornie dobry jego nastrój, wyśpiewał mu swe żale, druzgocąc wpływ opozycyi. O godzinie jedenastej przed południem opuściliśmy drogi nam Malechów, by pospiesznym pociągiem w towarzystwie księdza Rektora Gaworzewskiego i księdza Kwapińskiego ruszyć do Tarnowa na konsekracyę kościoła.

Strusów. W dwa tygodnie po misyi w Malechowie trzeba było stanąć znowu gotowym do pracy. Ksiądz Adam Pyrek, od roku proboszcz w Strusowie koło Mikuliniec, zaprosił nas na misyę do swej parafii, mającą trwać od 18. do 25. października. I znowu kłopot o pracowników. Ksiądz Bieniasz z bólem serca musiał ze szeregu wystąpić, aby pokrzepić nadwątlone siły, które tak łatwo się targają w pracy misyjnej, zwłaszcza gdy stan zdrowia pozostawia wiele do życzenia. Zostałem się sam, zawsze do apelu gotów, ale na co się zda jeden, kiedy w parafii 4000 dusz liczącej trzech się ugina pod brzemieniem pracy. Zaradził temu brakowi czcig. ksiądz Wizytator, który uprosił do pomocy ks. Superyora Krzyszkowskiego i księdza Odrobinę. Że ostatni z radością powitał tę propozycyę, łatwo pojąć wobec jednostajności zajęć, jakim się oddaje w szpitalu św. Łazarza, ale z uznaniem podnieść trzeba gotowość zacnego księdza Sup. Krzyszkowskiego, który mając prawo do spoczynku po kilkodniowych rekolekcyach danych dla kapłanów w Kalwaryi, przecież wyrozumiałością wobec braku sił misyjnych powodowany, wspaniałomyślnie pomoc swą obiecał. W tym zespole podążyliśmy w piątek

do Lwowa, gdzieśmy przenocowali u konfratrów, a w sobotę wieczorem stanęliśmy u celu, wioząc ze sobą śliczną pogodę. W zmroku wieczornym czarująco przedstawiła się naszym oczom panorama wsi, okolonej amfiteatralnie wzgórzami, na których tle majestatycznie rysował się strzelisty gotyk kościoła strusowskiego. Na progu domostwa swego powitał nas cichy, nieśmiały, lecz w tej skromności wielce sympatyczny ksiądz proboszcz Pyrek. Oprowadzając nas po obszernem probostwie, tłómaczył, że służyło ono jako kasarnia oficerska w czasach, kiedy w Strusowie stacyonowany był szwadron huzarów. Obecna jego jadalnia to była sala pojedynkowa, której ściany, na krwisto-czerwono pomalowane, były świadkami krwawych potykań z wynikiem śmiertelnym. Snać duch wojowniczy przesiąknął młodsze pokolenie tej wsi, która nocami święcąc orgie zwierzęce, bliznami na wielu twarzach pisze morderczą historyę sobie. W sam wieczór naszego przyjazdu obiły się o uszy nasze dzikie ich wycia i pieśni swawolne, które w czasie misyi zamienić się miały w płacz i narzekanie.

Budząc się rano w niedzielę, doznaliśmy niemiłego rozczarowania. Gruby całun śniegu okrył świat zimową powłoką. Nicby w tem złego nie było, gdyby padający z śniegiem deszcz nie był dróg popsuł, któremi komunikacya z dalszemi wsiami staje się na Podolu wprost niemożliwą. Smutni poglądaliśmy w przyszłość, pytając, co z misyi będzie. Rozpoczyna się suma, misyonarz wchodzi na ambonę, a kościół zaledwie do połowy zapełniony; może dlatego, że za wielki, tłómaczy sobie biedaczysko. Południe przynosi jeszcze większą odwilż, ale śnieg nie ustaje. Czekajmy nieszporów. Zadzwoniono na wieży kościelnej, a oto mrowie ludzkie z okolicznych wzgórz spieszy w stronę kościoła. Wszedł na ambonę ksiądz Superyor Krzyszkowski, a w kościele tłok. Posłuchali słowa Bożego o rachunku sumienia, którego ksiądz każdy słucha z zajęciem, jak powieści zajmującej, a cóż dopiero lud prosty. Tego właśnie wabika trzeba było, bo odtąd frekwencya zapewniona. Jakoż dnie następne nagrodziły nam sowicie troskę i smutek nasz.

Śnieg wprawdzie padać nie przestaje, błoto straszliwe, ale też Opatrzność Boska wie, czego komu potrzeba. Porwani nauką w kościele, a oderwani wskutek niepogody od pracy w polu, szukali Boga w sumieniach swoich z taką gorliwością, jakiej się na wstępie nie spodziewaliśmy. Ośm lat minęło dopiero od czasu ostatniej misyi, danej przez O. O. Redemptorystów, a potrzeby duchowne zawsze te same. Dojrzało młodsze pokolenie, a wraz z niem wybujały chwasty trujące. Przypatrywał im się proboszcz rok cały i mimo trudności i odradzań postanowił przyłożyć siekierę do korzenia. Cięliśmy co się zowie, ale snać radzi byli ludziska naszej robocie, zwłaszcza rodzice, bo nam tłumy młodzieży do kościoła spędzili. Może kochany Czytelniku pomyślisz, że dokonywując tej wiwisekcyi, pastwimy się z lubością nad ofiarami naszemi? Może i Tobie danem będzie kiedyś stanąć na stanowisku naszem, a zrozumiesz, ile serca ze siebie dać trzeba, by dokonywując bolesnych operacyi na duszach grzeszników, balsamem miłości równocześnie koić ich rany. Nie było kategoryi grzechów, którejbyśmy tu nie zastali, ale bo też winę tego ponoszą ci, którzy w pierwszym rzędzie, zamiast stać na straży moralności ludu swojego, niecili płomień ruchu narodowego drogą antagonizmu polsko-ruskiego, wyczerpując siły swoje w tym kierunku specyalnie, z zaniedbaniem religijnego uświadomienia ludu. Bez wątpienia kapłan na kresach wschodnich jako firma, około której koncentruje się wszelki ruch narodowościowy, nie może się ograniczyć li tylko kościołem, ale będąc w pierwszym rzędzie i z powołania nie politykiem, lecz stróżem wiary i obyczajów, z uszczerbkiem dla całości ich nie powinien łożyć całego zasobu sił i czasu na ołtarzu polityki. Od lat długich działo się tak w Strusowie i dzięki propagandzie politycznej lud jest narodowościowo niezwykle uświadomiony, ale też zaniedbanie na punkcie wyrobienia religijnego mści się w następstwie na zasadach etycznych, które powinny być drogowskazem godziwej walki i egzystencyi narodowej. Fanatyczna zaciętość, złośliwe szykanowanie Rusinów, poniewieranie kapłańskiej godności ruskiego księdza, to narkotyk

wpływający szkodliwie na zasadniczy warunek wszelkiej akcyi politycznej, t. j. na trzeźwość i spokój. Zrozumiał to wszystko obecny Proboszcz ks. Adam Pyrek, więc jako kapłan pełen ducha Bożego postanowił we wzajemnej zgodzie obu bratnich narodów założyć fundamenta odrodzenia życia religijnego w swej parafii. Że mu się dotychczas dzieło udało, byliśmy świadkami tego widząc na misyi do tysiąca Rusinów z trzema ich duszpasterzami na czele, kupiących się z zaufaniem około ambony i konfesyonałów. Uczuliśmy wyraźnie, że ten stosusunek zgodliwy raził fanatyzmem spitych menerów polityki rusko-polskiej, ale wierni zasadzie i duchowi naszemu, nie myśleliśmy ani na chwilę dać się powodować względami szowinistycznej szajki, pragnącej w kościeie Bożym widzieć i słyszeć apostolstwo nienawiści. Nie da się zaprzeczyć, że społeczeństwo ludzkie wszędzie na świecie wydaje ze siebie obok ludzi, traktujących powołanie na arenie politycznej jako ideał, wielu niestety takich, którzy w tej sferze działania, na mąceniu wody polegającej, obfity zeń połów mają; a jeżeli gdzie to apostolstwo słynie, to po wsiach, gdzie liczyć można zawsze na łatwowierność i brak krytycyzmu prostego ludu. Nie brak tego czynnika w Strusowie, lecz nie nas było brać na kawał, owszem poczuwaliśmy się do obowiązku przestrzedz błądzących przed wilkami w skórę owczą strojnymi.

W pracy swej około moralnego dobra parafii, a materyalnego kościoła, ma ks. Proboszcz zapewnioną pomoc ze strony pana hrabiego Józefa Gołuchowskiego, brata Agenora. Wzorowy praktykujący katolik, hr. Gołuchowski jest jednym z tych przedstawicieli naszej szlachty, którzy siłą wpływu swego z miłości i poszanowania do kościoła się budzącego, jednają sobie zaufanie ludu wicjskiego. Brał budujący udział we wszystkich kazaniach misyjnych i nabożeństwach, ze skupieniem zatopiony w modlitwie. Za zaszczyt sobie poczytywał prosić nas codziennie do siebie na obiady, na co nam jednak czas i względy roztropności nie pozwalały, wyjąwszy raz jeden, gdy trzeba mu było z grzeczności tę satysfakcyę wyświadczyć.

A teraz rzut oka na charakterystykę ludu tutejszego. Mówiłem, że znachodzą się wśród niego wszystkie kategorye grzechów, a panującemi są: pijaństwo, burdy nocne, bójk krwawe i inne występki, a przedewszystkiem marnotrawstwo, płynące z hazardowej gry karcianej o wielkich stawkach. Po za tem złote serce i szczera wola w poprawie życia, której wymownem świadectwem wielkie umartwienie i poświęcenie w uczęszczaniu na misyę mimo odrażającej niepogody. Czuliśmy się zawstydzeni i litością tknięci na widok tych biedaków, którzy od rana do wieczora zbłoceni i przemokli, a przedewszystkiem mężczyźni, słuchali słowa Bożego, które jak nóż lekarski zapadając w duszne wrzody, toczyło z nich jad gangreny moralnej, wracając zarazem zdrowie i życie. Taka misya błotnisto-śnieżysta to istne studyum psychologiczne nad duchem wiary polskiego wieśniaka, a przedewszystkiem nad działaniem łaski Bożej, przyjmującej się łatwo w sercu jego. Należąca do parafii wieś Zazdrość, odległa 7 kilometrów stąd, budziła podziw u wszystkich. Biedni ci ludziska, błąkając się nocą po zawalonych śniegiem drogach, wracali do domów po to tylko, by nazajutrz tę samą drogę krzyżową odbyć. Nie brakło ludzi z dalszych okolic, np. z Husiatyńskiego powiatu, którzy wstrzymani niepogodą od prac w polu, na misyę do Strusowa przybyli.

Praca nad takim ludem, lubo zachęcająca, jednak przy znacznem zaniedbaniu okazała się mozolną, nie tyle wprawdzie, co np. w Królestwie Polskiem, gdzie nerwowy iście nadludzki wysiłek nadawał piętno naszej pracy, ale mozolną dlatego, że to misya dla jednej ściśle określonej parafii, z której nikt nie powinien odejść niewyspowiadany, a tu tymczasem kapłani sproszeni do spowiedzi zawiedli, bo zawieść musieli wskutek dróg, zawieją śnieżną zatartych. Siadało nas do konfesyonału najwyżej dziesięciu naraz, co wobec 4.000 rozdanych kartek nasuwa wątpliwość, czy podołamy. Nie pozostawało nic innego, jak przewlekać codziennie spowiedź późno w wieczór i poświęcić sobotnie popołudnie wyłącznie na spowiedź. Naturalnie, żeśmy spowiadali, ale nie w zupełnej

ciszy, bo widząc kościół nabity, urządziliśmy uroczyste oddanie parafii w opiekę Matce Boskiej, którą chwalił nasz Benjaminek misyjny, ksiądz Alojzy Odrobina. Dzięki pomocy ekspozyta z Darachowa ks. Kielara, wikarego z Trembowli ks. Prugara, Przeora O. O. Karmelitów, wikarego z Mikuliniec, księdza Strusia z Bieniawy i trzech księży ruskich, ukończyliśmy spowiedź w późną noc sobotnią. W niedzielę dopełniliśmy końcowych obrzędów misyjnych postawieniem krzyża i kazaniem pożegnalnem, w których uczestniczyli trzej księża ruscy z swojemi procesyami. O godzinie 5. wieczorem zajechał po nas pan hr. Gołuchowski przepyszną karetą, zaprzężoną w parę karych koni bajecznej wartości, by nas osobiście w otoczeniu banderyi, z 24 koni złożonej, odprowadzić do dworca. Zasypani kwiatami i bukietami przez wdzięczną i rozrzewnioną ludność, sami do głębi wzruszeni, pożegnaliśmy drogi nam Strusów, by po krótkim postoju we Lwowie wrócić z zadowolonem sercem do domowych pieleszy w Krakowie.

Cztery tysiące wyspowiadanych, wszyscy bez wyjątku zapisani do bractwa Trzeźwości, parafia cała na duchu odnowiona, oto wiązanka trudów naszych, którą składamy u stóp Ucieczki grzeszników na większą chwałę Boga i ku pociesze świętego Ojca Wincentego.

Ks. Zygmunt Truszkowski.

List Ks. Superyora Mięsopusta do Ks. Wizytatora.

Prudentopolis, 14. września 1908.

Otrzymałem wczoraj list od Księdza Wizytatora. Dziękuję za ten objaw miłości i życzliwości dla mnie. Już dawno zabierałem się do listu do Księdza Wizytatora; ale miesiąc lipiec i początek sierpnia spędziłem prawie cały w lasach, pracując na misyach z naszymi brazylijskimi konfratrami z Kurytyby, dzieląc z nimi głód i chłód. Podziwiałem nie tyle ich pracę, bo im stosunki tutejsze nie wiele jej dostarczają, ale ich zaparcie i poświęcenie. Rok niemal cały przepędzają poza Zgromadzeniem, idąc z jednej osady do drugiej, wszędzie prosząc i zachęcając lud do wzięcia udziału w misyi. Miejscami napotykają na niechętnych proboszczów, którzy nie bardzo życzą sobie ich misyi, a niekiedy nawet nie starają się o to, aby mieli odpowiednie mieszkanie. W naszej okolicy im się stosunkowo najlepiej podobało, bo lud przynajmniej garnął się do słuchania słowa Bożego. Wszędzie spieszyłem z nimi, aby im czy to pomódz, czy znaleźć jakie takie schronienie. W miasteczku, gdzie mieszka około 40 rodzin brazylijskich, głosili nauki tydzień, a trzy dalsze tygodnie po lasach.

Znane już nasze Prudentopolis, że to dyaspora polska w wielkiem morzu, jak tu już mówią, ukraińsko-ruskiem, choć sobie jeszcze z tego wyrazu lud nie zdaje sprawy, bo raz mi powiedziano, że to dlatego obecnie Rusini Ukraińcami się nazywają, że z jednej krainy przybyli w drugą. Osady brazylijskie są jednak jeszcze o wiele więcej porozrzucane; weźmijmy n. p., że tak zwana Bara Bonita ma 3 mile wzdłuż, a tylko jest na niej 40 mieszkańców w najrozmaitszych miejscach. Podobną do niej jest jedna kolonia polska, na której mieszka dziesięć rodzin, a podczas kolędy potrzeba siedmiu

godzin, aby wszystkie odwiedzić i choć krótko w każdej się zatrzymać. Nadto każda osada brazylijska jest od drugiej oderwaną. Chcąc więc krajowcom dać sposobność poznania nauki Bożej, musieliśmy aż w trzy strony jeździć. Wyspowiadało się wszystkich 470 osób, komunii św. przyjęło 450, a 36 małżeństw uważniono. Jest to na nasze 250 rodzin brazylijskich bardzo dużo. Zbawienny nadzwyczaj wpływ wywierają nasi koloniści. Dawniej jeszcze żalili się niektórzy uczciwi Brazylianie: *Não sei, como acaba a nossa religião,* (nie wiem, dlaczego tak gaśnie nasza wiara), dziś już usłyszałem od jednego: *já se levanta*, już powstaje znowu do nowego życia.

Tu i ówdzie pomiędzy Brazylianami dostrzeże się coś, co smutne na nas zrobi wrażenie: to dzieci polskie, co albo utraciły swoich rodziców, albo od nich odbiegły, lub zostały przez nich wypędzone. Na Lucenie widziałem raz dziecko pięcioletnie, któremu Botokudzi rodziców zamordowali, i żal mi go się zrobiło, ale przynajmniej w dobrych rękach u religijnego Brazylianina; ale tutaj tych wypadków dość wiele. Jeden już dzisiaj dorosły młodzieniec, który uciekł od ojca, mając pięć lat, bo go ojciec chciał zabić, jeśli to prawda, co mówił. Drugi, sierota dopiero dziesięcioletnia, ani przeżegnać się nie umie. Spotkałem dziewczynę, którą rodzina brazylijska przytuliła jak własne dziecko, ale nie może jej nic dać, bo ma dużo własnych dzieci. A pożal się Boże, jak to dziecko nędznie wyglądało, gdy przybyłem do domu jej przybranych rodziców prosić, aby jej choć kiedy niekiedy pozwolili iść do kościoła. A podobnych wypadków dość dużo, bo z początku ludzie nieraz głodem przyciśnięci oddawali swoje dzieci Brazylianom.

Spodziewam się, że stosunki miejscowe będą interesowały Księdza Wizytatora. Obecnie jesteśmy najdalej wysunięci w głąb, a da Pan Bóg, może tutaj jakie małe centrum stworzymy, jak księża w Kurytybie. Wokoło dużo powstaje nowych kolonii, a przynajmniej jedna, *Miguel Calmon*, o siedm mil od nas, będzie miała kościół parafialny. Dojeżdżam tam



Szkoła w Prudentopolis.

co miesiąc. Ostatni raz byłem tam z p. Okęckim w początkach sierpnia. Spisaliśmy Polaków i podali dyrektorowi kolonii, aby osobno dla nich kazał wymierzać szakry. Naliczyliśmy już wtenczas 120 rodzin polskich, a dziś już będzie więcej. Sekretarz dyrektora, zbrazylianizowany Francuz Merry, pokazywał mi już nawet gotowy plan na kościół rzymsko-katolicki, zatwierdzony przez rząd związkowy. Zamiarem obecnego związkowego ministra rolnictwa i kolonizacyi, od którego nowa osada wzięła nazwę, jest utworzyć tu potężną kolonię, podobną do Prudentopolis i Rio Claro. Biedni Brazylianie! gdzie tylko nie opłacą rządowi swoich gruntów. ruguje ich, a na ich miejsce sprowadza naszych. Patrzą też na nich miejscami z żalem i zazdrością, że estrangeiro na małem tak dobrze się zagospodarzy, a im wielkichby przestrzeni potrzeba, aby i tak nędznie jeszcze wegetować. Podczas naszych wycieczek misyjnych widzieliśmy, jak nawet na oko bogaci Brazylianie nie mieli nam co dać, albo jak pan domu, u któregośmy zamieszkali, choć właściciel 70 szakrów, wymawiał się, że nie ma czem zapłacić za chrzest. A jaka nędza u tych, co są tak zwanymi „aggregados“ t. j. ludźmi bez wszelkiej własności, którym pozwala bogatszy Brazylianin uprawiać ziemię na pewnej części swej własności, czy to za darmo, czy za pewną opłatą. Widziałem już takich po zakątkach kolonii, co nie mieli nawet czem uczciwie się okryć.

Na obszarze nowo przyłączonym do Prudentopolis, na razie tylko politycznie, powstaje druga, już mniejsza, ale również wielka kolonia, nazwana od naszego prezydenta *Xavier da Silva.* Ma w przyszłości mieć od 500—600 kolonistów. Dyrektorem jej jest sekretarz robót publicznych i spraw kolonialnych z ostatniej kadencyi z czasu prezydentury Wincentego Machady, człowiek bardzo uprzejmy i zacny. Podejmowaliśmy go u siebie zeszłego roku wraz z p. konsulem Okęckim. On to między innemi domagał się, abyśmy koniecznie poszli na Rio Claro. Względem Polaków okazywał zawsze szczególniejszą dobroć i dlatego z żalem go żegnano, gdy ustępował ze stanowiska sekretarza. Ponieważ

na razie na Miguel Calmon tamtejszy dyrektor nie chciał nowych emigrantów przyjmować dla szczupłości miejsca w barakach, wszystko obecnie idzie tutaj. Już na tej kolonii mamy 40 rodzin polskich nie mieszanych, częścią z Królestwa, częścią z Jarosławia lub z Rawy Ruskiej.

Niezależnie od tych kolonii powstały nieco wcześniej na pierwotnem terytoryum municypalnem dwie małe kolonijki, Marcondes i Corrêa. Pierwsza bardzo blizko miasta, bo tylko o trzy mile oddalona, do drugiej niestety siedm mil. Obie zbudowane są w systemie wioskowym. Wspomina Włodek w swych listach z Brazylii, że robiono starania w ministeryum, aby wszędzie w nowo powstających koloniach stosowano ten system. Jest to jednak niemożliwe na wielkich koloniach, n. p. w Miguel Calmon, gdzie liczba rodzin dochodzi do tysiąca dwustu, albo chociażby na Xavier da Silva. Pięknie się przedstawia taka kolonia, gdzie wszyscy razem mieszkają jak w miasteczku, ale wielkie tam niewygody dla kolonistów, bo nie mogą trzymać żadnego inwentarza. Przedtem, o ile wiem, wznieśli tylko Niemcy taką kolonię przy Lapie w Marienthal, ale tam ich jest tylko 50 rodzin. Tu dało się to samo zastosować, bo na jednej jest 40, a na drugiej 110 szakrów. Wszędzie Rusini w przewadze. Kolonia ta jest bardzo dobra. Jest wprawdzie oddalona, bo aż siedm mil, w dodatku po terenie górzystym, ale wszystko tam będą mogli mieć koloniści. Już widziałem plantacyę trzciny cukrowej u Mędrzyckiego, u Boguszewskiego nawet kawę. Oby im Pan Bóg błogosławił! Wszyscy są dobrej myśli. Z początku ich buntowano, że góry są tam straszne, że brakuje tam wody. Dzisiaj są zadowoleni. W pobliżu nich mieszka 12 rodzin polskich, ale już w kolonii Ivahy. Wszyscy się dobrze mają, wyrabiają cukier i pędzą wódkę. Na kolonii Marcondes tylko dziesięciu mamy Polaków. Szkoda, że choć tych nowych na jednej kolonii nie umieścili.

Prudentopolis wzrośnie wkrótce do wielkich rozmiarów. Nie mam na myśli, że miasteczko tak się podniesie, bo trzebaby było fabryk i przemysłu, a o tem na razie nic nie słychać,

ale jednak będzie miało wielkie znaczenie, kolonia będzie największą z całej Parany. Wkrótce dojdzie do 20.000 osób, jeśli nie więcej.

Może nawet i mały przemysł się rozwinie. Ludzie przynajmniej z Królestwa noszą się z tym zamiarem i mają ochotę, gdy się zagospodarują trochę, potworzyć sobie małe warsztaty tkackie. Ale jednak będzie potrzeba do tego pieniędzy i zgody, bo myślą o spółce, a spółki polskie się nie udają. Dopytują się też, czy rząd ewentualnieby ich nie wspomógł, gdyby chcieli rozpocząć jakie przedsiębiorstwo. Prawda, że rząd obiecuje wielkie ulgi tym, którzyby wzorowe prowadzil gospodarstwo, obiecał nawet o połowę spuścić cenę szakrów, eśli się zastosują koloniści do wymagań rządowych.

Tutejsi ludzie z Królestwa robią dobre wrażenie, są jednak między nimi awanturnicy. Poznałem takich, co na wskróś znają Brazylię i Argentynę, a mówią po polsku, po niemiecku, po rosyjsku, po portugalsku i po hiszpańsku. Przedstawiono mi świadków, jak jeden, niejaki Rzeszowski, dobre stanowisko posiadał w Rio de Janeiro w fabryce tkackiej, zarabiał 180 milów miesięcznie, blizko tyle zarabiała jego żona i nie mało jego dzieci, a na wiadomość o rewolucyi, wszczętej przez socyalistów dla wypędzenia Moskala, porzucił wszystko, przedarł się do Łodzi i brał udział w ruchawkach rewolucyjnych. Ludzie z Galicyi boją się tych ludzi i kiedy spisywałem po nabożeństwie niedzielnem Polaków, aby potem poprosić dyrektora, żeby ich dał całkiem osobno, nie pojawili się, musiałem dopiero po nieszporach jeszcze raz przemówić do nich i powiedzieć im, że będę prosił dyrektora, aby ich z nimi nie łączył, ale żeby szli na działy polskie. Podobno miano z samego Rio de Janeiro na rewolucyę w Królestwie posyłać dwa razy składkę: pierwsza miała wynosić, jak mnie zapewniano, 1600 milów.

Chciałbym się jeszcze pochwalić jednym człowiekiem, który tu ma wielkie znaczenie, a dużo zdziałał dla tutejszej Polonii; to p. Sebastyan Zaporski, ślązak, rodem z Siadkowic pod Opolem. Piękne wspomnienie mu poświęca „Praca"

z 9. sierpnia b. r. Osobiście się z nim nie znam, ale znam jego syna i córkę, mieszkającą blizko Prudentopolis. Prowadzi on roboty inżynierskie i gorliwie stara się o to, aby osobno dostali się nasi.

Ksiądz Źdźbło całkiem się tu już przyjął, jak młode drzewko. Dzisiaj rozpoczął myśleć o jakiemś niemieckiem kazańku na niedzielę, bo wyjeżdżam w niedzielę na Miguel Calmon. Ale już się znowu boję tego Calmon. Pierwszy raz zginął mi koń i odnalazł się dopiero po miesiącu. Posiada on szczególniejszy spryt. Wszystkie bramy i bramki potrafi sam sobie otwierać. Gdy czasem wjeżdżam w dom i muszę otwierać furtkę, odsunę kładkę, a on łbem w furtkę i wjeżdżamy. Na kolonii, gdzie jeszcze żadnych niema porter, ciężko z takim koniem. Trzeba go wiązać, a i tak potrafi się jeszcze wydostać. Drugi raz znowu mi konie uciekły. Chcemy wyjeżdżać, a tu koni niema. Jednego przywłaszczono sobie, ale policya tutejsza odebrała go, gdy jakiś Brazylianin przyjechał na nim na wesele.

Siostry nowe czują się zadowolone. Ludzie oblegają je ustawicznie. Siostra okulistka S. Domachowska ma już 12 pacyentów. S. Jerzykiewicz wzięła znowu wszystkich wewnętrznie chorych. Kiedyś zszywała głowę jakiemuś Rusinowi, który spadł do przepaści na drzewo głęboko i rozpłatał ją sobie. — Wogóle Siostry działają dużo; pokój jeden wyłącznie przeznaczyły na salę opatrunkową.

Jeszcze raz dziękuję Przewielebnemu Księdzu Wizytatorowi za Jego tak pocieszający list i polecam się Jego modlitwie. Pozdrawiam również serdecznie wszystkich innych Księży Konfratrów.

Ks. J. Mięsopust.

U Konfratrów w Konstantynopolu.

W nocy 22. sierpnia 1907 r. odjechałem ze Lwowa pociągiem pospiesznym w stronę Czerniowiec. Poleciwszy się gorąco Panu Bogu we Mszy św., ruszyłem w stronę Jerozolimy. To, o czem tak dawno marzyłem, stało się rzeczywistością: rok cały wolno mi będzie przebywać w kraju, tak drogim dla każdego chrześcijańskiego serca. Spieszno mi było, ale też zarazem smutno, boć żal opuszczać swoich na dłuższy czas. Dzień był zimny i słotny, czeka mnie zaś dzisiaj droga daleka, bo dopiero o godzinie 11. w nocy mam opuścić wagon, aby się odrazu przesiąść na statek rumuński w Konstancy, mający mię przewieźć do Konstantynopola.

Jadę sam, moi towarzysze podróży to turyści niemieccy, rozmowa się rwie. O 11. godzinie stajemy w Burdujeni, na granicy rumuńskiej, obsiada nas wnet stado celników; następuje rewizya paszportów, wypytują o cel podróży, w którym się chce stanąć hotelu; a tymczasem inni przetrząsają nasze podróżne bagaże, szczególniej ścigają nowe przedmioty; ale że ja tylko przejeżdżam przez Rumunię, stąd traktują mię względniej. Rozmówić się można tylko po rumuńsku z konduktorami, a stąd niejeden mam kłopot.

Pierwszy dzień podróży należy zawsze do najprzykrzejszych, świeże pożegnanie, niepewność jutra, a na dobitek pochmurne niebo i smutny krajobraz, to wszystko nastraja na melancholijną nutę, długie godziny urozmaica tylko brewiarz i studyum Baedekera. Jedziemy wciąż przez bezbrzeżną równinę, starannie, co prawda, uprawną, lecz zupełnie monotonną; tu i ówdzie kępa samotnie stojących dębów, topoli lub akacyi i zdaleka zarysowujący się łańcuch gór węgierskich, to nie może rozerwać. Ale w kraju praca gorączkowa, wi-

dać, że on szybkimi krokami dąży ku rozwojowi ekonomicznemu i kulturalnemu. Stacye kolejowe bardzo czyste i schludne. Ludność jednak jakoś dziwnie poważna, szczególniej uderza smutek, malujący się na twarzach rolników, chodzących poważnie obok bryk, ciągnionych przez woły.

O godzinie 10. w nocy zbliżamy się ku Dunajowi, wjeżdżamy na sławne na cały świat mosty, rzucone przez trzy szerokie ramiona Dunaju. Nasyp, po którym pędzi kolej, jest 13 km. długi, ciągnie się tak daleko, jak szeroko sięga swymi wylewami Dunaj. Najwspanialszy z trzech mostów znajduje się koło stacyi Czernavoda; zawieszeni jesteśmy 40 metrów ponad wodą, z tej wysokości przy słabem oświetleniu lamp spoglądamy na spokojny i majestatyczny Dunaj, zdający się spoglądać z grozą na zuchwałego śmiałka, błyskawicznie przesuwającego się nad toniami jego fal. Mijamy miasteczko Saligny, poświęcone twórcy tego olbrzymiego wiaduktu. Wjeżdżamy na słynną wyżynę Dobruczy, tuż przed sobą mamy wał Trajana, najdalej wysuniętą na wschód placówkę rzymską; rzec można, stąpamy już po gruncie klasycznym. Ale inaczej zapatrywał się na tę okolicę stary Rzymianin, gdyż Konstanca, do której się zbliżamy, to starożytne Tomi, miejsce wygnania Owidyusza. Myśl ta nasuwa nam na pamięć prześliczną elegię przezeń ułożoną w dzień odjazdu ze Rzymu.

Pociąg zajeżdża do samego portu i staje tuż naprzeciwko parostatku gotowego do odpłynięcia. W nocy niema czasu do rozglądnięcia się po mieście; odrazu kupuję bilet i wśród ulewnego deszczu wyruszamy w drogę. Powoli oddala się olbrzymi okręt od drewnianego pomostu, zatacza wielki łuk i majestatycznie zaczyna się posuwać naprzód. Jazda była nader urocza, nie było jednak żal spędzać pierwszej nocy w kajucie, bo deszcz ulewny padał aż do rana. Dopiero nad ranem zaczęło się zwolna wypogadzać; w miarę, jak się zbliżamy do Konstantynopola, staje się niebo coraz jaśniejsze, znak, iż opuszczamy niegościnne niebo północy, a dostajemy się pod wiecznie uśmiechnięte niebo południa. Rano znajdu-

jemy się już na pełnem morzu; nigdzie nie widać ani śladu wybrzeża. Fale są dość potężne, lecz nasz „Karlos I.“ sunie po nich jak strzała, bez najmniejszego wstrząśnienia, igrając z uderzającymi nań bałwanami. Płyniemy z chyżością 15 węzłów na godzinę, na pełnem morzu nie odczuwamy tej szybkości, dopiero gdyśmy się znaleźli w cieśninach Bosforu, poznajemy, jak szybko płynie, aż żal było, że tak prędko mijają przed naszemi oczami cudowne widoki. Tymczasem mam dość sposobności zapanować nad swemi wrażeniami. Wczorajszy brak humoru ustąpił, już cofać się nie można, odzyskuję równowagę i godzę się ze swoim losem podróżnego. Pasażerów na statku wielkie mnóstwo, wszystkie miejsca zajęte, jest to czas wakacyi, a zatem prawie wszyscy turyści. Okręt nasz nazywa się „Karol I.“, cztery takie olbrzymie statki, niedawno zbudowane w warsztatach francuskich, pełnią służbę między Konstancą, Konstantynopolem i Smyrną. Obok francuskich okrętów „Messagéries“ są to okręty najlepiej urządzone. Stosunkowo jest nasz okręt nizki, ale za to długi i smukły. Połączenie przez Konstancę jest nader wygodne, w czwartki i niedziele ma się się bezpośrednią komunikacyę z Konstantynopolem. Rumuńskie okręty spełniają tę służbę pod każdym względem znakomicie, przestrzeń około 400 klm. przebywa się w 12 godzinach. Opowiadano mi w Konstantynopolu, że z początku te okręty wywoływały prawdziwy popłoch na Bosporze z powodu swej chyżości, bo poprzewracały kilkanaście mniejszych statków, tak iż Turcy musieli się domagać zwolnienia ich biegu.

Już przed godziną 10 zaczyna się przed nami zarysowywać ląd, a po 10 wjeżdżamy w sławną ciesninę, łączącą dwa tak różne światy, jak Azya i Europa. Każdy stara się zająć na okręcie dogodniejszą pozycyę; uzbrojeni w lunety i aparaty fotograficzne z natężeniem obserwujemy tę wspaniałą panoramę. To, o czem wielu z nas marzyło, staje żywo przed naszemi oczyma. Jesteśmy na Bosporze, za którym już starożytni szukali złotodajnych krajów. Tędy w V. wieku przed Chrystusem, ówczesna Persya, pani i władczyni świata,

idzie na podbój Europy, chce zgnieść Grecyę, ale knut i miecz kruszy się o stalową pierś mężnej i rozkochanej w swej wolności Hellady. Tu dotąd później Konstantyn W. przenosi swą stolicę, aby stąd jakby z centrum rządzić całem potężnem imperyum. Tu zakwitło życie i kultura bizantyńska, tu także chrześcijaństwo doszło szczytu swego rozwoju w pierwszych wiekach naszej ery. Dokoła tych wybrzeży toczą się i rozstrzygają największe spory chrystologiczne, stąd także rozlewa się chrześcijaństwo na obszerne i żyzne niwy Sarmacyi. Ale niestety! jakieś dziwne przekleństwo ciąży nad Bosporem, bo tak cywilizacya, jak i rozkwitający Kościół niebawem kostnieją w objęciach bizantynizmu. Cesarstwo greckie Konstantyna W. przeradza się w państwo bizantyńskie, cesarze, jak i poprzednicy, imperatorowie rzymscy, otaczają się kultem religijnym, chcą całą władzę, tak ziemską jak i duchowną, w swoich skupić rękach. Kościół staje się niewolnikiem państwa, traci wszelką swobodę i wpada w zupełną martwotę, zaczem idzie upadek religii i państwa. Dzisiaj po obu brzegach Bosporu panuje półksiężyc. Dziedzictwo po cezarach obejmują kalifowie, ale dziś spotyka ich ten sam los, co cesarzy bizantyńskich. Podobne myśli cisną się, lecz niebawem to rozmyślanie przerywają nam widoki Bosporu. Już zdala ukazują się nam wybrzeża ogromnie poszarpane. Koło Rumeli Fanar, nędznej wioski greckiej, tworzy Bospor zrazu obszerną zatokę, do której przystępu bronią liczne rafy i skały, znane w starożytności jako wyspy kijanejskie, między któremi z wielką bojaźnią przepływa Jazon, wyprawiając się do Kolchidy po złote runo. Wybrzeże, utworzone z ciemno-czerwonego bazaltu i diorytu, stacza się licznymi przylądkami ku morzu. Brzegi Bosporu są tutaj zupełnie puste. Ale przed nami widnieje Rumeli Kawak, a na wybrzeżu azyatyckiem Antoli Kawak, forty, broniące dostępu do Bosporu. Odtąd właściwie zaczyna się cieśnina, zatoka zwęża się nagle, gdyż brzeg anatolski ścieśnia ją ostrym przylądkiem. Widzimy jeszcze szczątki dawnych fortów greckich, których mury schodzą aż do samego morza. W starożytności przylądek ten nazy-

wano Hieron, gdyż na nim stał ołtarz, poświęcony dwunastu bożyszczom; już Jazon, wracając z Kolchidy, składał tutaj ofiary dziękczynne Zeusowi Urios, jako władcy wichrów, które go oszczędziły na dopiero co przebytem Czarnem morzu. Tutaj okręt się zatrzymuje; kapitan udaje się w małej szalupie do urzędu tureckiego Anatoli Kawak, aby otrzymać paszport i glejt wolnego przejazdu. Bospor znowu się rozszerza, między Bujuk-Dery i Therapia tworzy cudowną zatokę, góry otaczają ją wieńcem, a całe ich stoki, pokryte piękną zielenią drzew, na których tle odbijają się wspaniałe pałace z białego marmuru i wille. Uderzają nas prześliczne platany, pinie ze swemi rozszerzonemi jak parasol koronami i smukłe cyprysy. Bujuk-Dery i Therapia, to rezydencye letnie ambasad europejskich, tutaj także najwyżsi członkowie rządu tureckiego szukają spokoju i wytchnienia po pracy dyplomatycznej. Brzeg azyatycki natomiast mniej interesujący. Odtąd na wybrzeżu europejskiem przesuwają się przed nami wspaniałe wille i meczety, ukryte najczęściej wśród wielkich parków. Prawie naprzeciwko Therapii w małej zatoce leży port i wioska Bejkos, ważna dla nas Polaków, bo opodal dwie godziny dalej znajduje się polska kolonia Adampol. Bospor aż do Jeni Keui jak olbrzymi wąż wije się i przeciska wśród ostrych przylądków. Od Jeni Keui przyjmuje stanowczo kierunek południowy i gwałtownie się zwęża. Najciaśniejszym jest koło Rumeli Hissar; jest tu zaledwie 600 mtr. szeroki, tu też stoją potężne niegdyś fortece greckie, stanowiące klucz do Konstantynopola. Uderzają nas przedewszystkiem cztery olbrzymie białe baszty. Fort ten już w 1452 dostał się w moc Turków; odtąd też dni Carogrodu były policzone. Oko nasze teraz pilnie śledzi naprzód, bo niebawem ma się przed naszemi oczami ukazać cały Konstantynopol. Poniżej Anatoli Hissar, zamku azyatyckiego, wpadają do Bosporu dwie rzeczki, znane pod nazwą „Słodkich wód azyatyckich", miejsce zabaw dla ludności brzegu południowego. Mijamy Bebek, położone w uroczej dolinie, ulubione miejsce Anglików i Amerykanów, a także ważne dla nas z długoletniego pobytu ks. Eugeniusza Boré, superyora

generalnego, tutaj także znajduje się letnia rezydencya naszych konfratrów z Konstantynopola.

Przybywamy do Orta Keui, teraz Bosfor czyni nagły zwrot i odrazu, jak na dłoni, widnieje przed nami Stambuł, z prawej strony Galata i Pera, z lewej zaś Skutari ze swemi cmentarzyskami, a w głębi bieleją meczety Kadi Keui, dawniejszy Chalcedon. Jednak co nas najwięcej uderza i zajmuje, to Aja Sofia, bazylika odwiecznej Mądrości, poświęcona Chrystusowi, jako drugiej Osobie Boskiej, jeden z największych gmachów wysunięty na sam front, bo zbudowany na szczycie przylądka między morzem Marmara a Złotym Rogiem. Z niezmierną radością zasyłamy pozdrowienie tej świątyni, będącej najznakomitszem dziełem geniuszu chrześcijańskiego. Wspaniała kopuła jest koroną całego szeregu mniejszych półkopuł, skupiających się dokoła niej. Co prawda, nie jest ona tak wysmukła, jak kopuła św. Piotra, ale za to imponuje swoim majestatem, powagą i siłą, jako doskonały obraz wszechświata, dzieła rąk Bożych. Ale próżno szukamy nad nią krzyża, symbolu zbawienia, natomiast ku naszemu przerażeniu widzimy na niej półksiężyc, a po czterech jej węgłach smukłe minarety, uwieńczone również półksiężycem. Poza Aja Sofią coraz wyżej wznoszą się setki meczetów, zbudowanych na jej wzór. Niektóre zdają się być od niej większe, ale żaden z nich jej nie dorównywa, ona jest panią wszystkich. To dodaje otuchy naszemu sercu, bo jest widocznym dowodem, że zwycięstwo półksiężyca nad krzyżem jest raczej pozorne i że kiedyś znowu zabłyśnie na niej krzyż. Od Orta Keui rozpoczyna się cały szereg pałaców sułtańskich. Pierwszy z kolei, t. zw. Czirigan Serai, składa się z całego szeregu marmurowych kiosków w stylu tureckiego renesansu. Między tymi pałacami ciągną się wspaniałe parki i ogrody, a poza nimi na wzgórzu wznosi się pałac Ildiz-Kiosk, gdzie mieszka sułtan-więzień, Abdul Hamid, który raz tylko w roku opuszcza swój pałac i przyjeżdża do Stambułu, aby pokłonić się zielonemu płaszczowi proroka. Podziwiamy dalej szereg wspa-

niałych pałaców, zwanych Dolma Bagcze Serai. Tak stanęliśmy w samym Carogrodzie.

Miasto rozłożone terasowato po obydwu brzegach Złotego Rogu. Szczególniej uderza Stambuł swymi meczetami, a Pera swem wysokiem położeniem. Tuż przed nami olbrzymi most, łączący Galatę ze Stambułem, a na nim wre jak w ulu, bo przeszło 100 tysięcy ludzi przesuwa się dzień w dzień ponad falami Złotego Rogu. Okręt nasz przybija do kamiennego molo, tuż obok olbrzymiego mostu. Na wodach Bosporu szalony ruch, tysiące statków przeróżnych państw składa tutaj swe towary. Podziwiamy olbrzymie okręty francuskie, austryackie, angielskie, rosyjskie, włoskie, niemieckie, egipskie i mniejsze greckie i tureckie, a wśród nich całe setki statków mniejszych typów, spełniających służbę na Bosporze. W porcie na Galacie panuje nie mniejszy ruch, niemile uderzają krzyki i nawoływania całego tłumu tragarzy, drogomanów, agentów hotelowych i różnych towarzystw podróżnych; każdy krzyczy, co tylko sił starczy, zachwalając swój hotel czy kawiarnię. Przyznać należy, że to należy do najprzykrzejszych chwil, jakie się przechodzi w podróży na wschód, zwłaszcza, gdy się widzi z blizka twarze tych niesympatycznych wyzyskiwaczy i wydrwigroszów. Skoro tylko jako tako przymocowano okręt do potężnych słupów kamiennych, już wdrapują się na statek setki przeróżnych indywiduów, aby biednych pasażerów dręczyć swemi nieproszonemi przysługami. Następuje formalna bójka o walizki i kuferki; trzeba mieć dużo zimnej krwi, aby wydostać się na brzeg z tego zamieszania. Skoro tylko staniemy na lądzie, zaraz odbierają podróżnym paszporty do wizy, a bagaże do duany, urzędu cłowego. Tutaj największy pościg jest za książkami, które naturalnie każdy starannie ukrywa. Nawet mój *Kursbuch* z rozkładem jazdy kolejowej musi iść do szefa celników po aprobatę, ale zyskuje łaskę i zwracają mi go uprzejmie. Inne zaś książki skonfiskowane można wykupić na drugi dzień u którego z antykwarzy. Zazwyczaj jednak od wszelkich kłopotów wybawia *bakszysz*, słowo, które się będzie obecnie ciągle obijało o nasze uszy.

Wydostawszy się stosunkowo łatwo poza kordon celny, już po pięciu minutach stanąłem w domu naszych konfratrów francuskich w kolegium St. Bénoit. Po drodze jeszcze spotkalem miłego staruszka, który mię odrazu zaczepił po polsku; był to emigrant, ale nie wiem, po czem poznał, żem Polak. Bardzo przykro przechodzić przez wązkie a brudne ulice Galaty. Była to dawniej dzielnica przeznaczona dla Europejczyków, ale po wojnie krymskiej przenieśli się do zdrowszej i wyżej położonej dzielnicy na Perę, Galatę zaś zalały wszelkiego rodzaju wyrzutki społeczeństwa. Ulice wązkie, ciasne, niezmiernie brudne, psy na nich całemi stadami się rozpanoszyły, a teraz w południe śpią gromadami na środku ulic, aby natomiast w nocy niepokoić swem wyciem spokojną ludność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. W. Michalski.

Trzy domy Zgromadzenia w Paryżu.

(Ciąg dalszy).

Zrazu mieszkali Misyonarze w budynkach poszpitalnych. Że jednak mury w znacznej części chyliły się do upadku, zaczęto je zwolna odnawiać i przebudowywać. Jeszcze za życia św. Wincentego wystawiono okazały dom frontowy, do dziś bardzo dobrze zachowany, który wyłącznie przeznaczono na rekolekcye dla ordynandów. Następcy Świętego dalej prowadzili dzieło przebudowy; najwięcej zrobił trzeci przełożony generalny, ks. Edmund Jolly, w latach 1681—1684.

Kiedy w czasie wielkiej rewolucyi posiadłość tę Zgromadzeniu wydarto, istniał z dawnych czasów jedynie tylko kościółek pod wezwaniem św. Łazarza, który z obawy przed zawaleniem zburzono w r. 1823. Prócz domu frontowego, a podobno także małego domku, wewnątrz po lewej stronie głównego gmachu położonego, w którym się mieściło Seminaryum Internum, niema z czasu św. Wincentego żadnego śladu. To, co dziś pokazują nam jako dawny pokój Świętego, jest to mieszkanie jego następców, tem bardziej drogie dla nas, że dom nowszy, zbudowany prawie zupełnie według dawnego planu, a więc i pokój przełożonych generalnych na miejscu dawnego się znajdował.

Wiadomo, że pierwszym aktem wielkiej rewolucyi był napad na św. Łazarza w nocy z 12. na 13. lipca 1789, znany w historyi francuskiej pod nazwą *sac de St. Lazare.* A pobudką do tego był nie tylko pierwiastek religijno-moralny — Zgromadzenie bowiem wywierało wpływ swój moralny na całą Francyę, wychowując w przeszło pięćdziesięciu seminaryach większą część kleru francuskiego, gromadząc go u siebie na rekolekcyach, na konferencyach wtorkowych, pracując nadto nad ludem przez misye, przez bractwa miłosierdzia,

za pośrednictwem S. S. Miłosierdzia — ale nadto występował tu motyw ekonomiczno-społeczny. I nie bez racyi; Zgromadzenie było podówczas jednym z największych posesyonatów w Paryżu. Olbrzymia posiadłość po dawnym szpitalu św. Łazarza rozciągała się na znacznej części dzisiejszego Paryża: dworzec północny, plac Lafayette, wielki i wspaniały kościół parafialny św. Wincentego a Paulo, olbrzymi szpital Lariboisière i całe mnóstwo nowych ulic spotykamy dziś tam, gdzie dawniej rozciągał się wielki ogród, o którym sam św. Wincenty mówił: „W całym Paryżu mało jest tak wielkich ogrodów jak nasz"[1]), obszerne pole uprawne, dostarczające dostatecznej ilości pożywienia dla kilkuset osób, zamieszkujących św. Łazarz. Miało Zgromadzenie nadto inne posiadłości w Paryżu, jak plac targowy św. Wawrzyńca, którego posiadanie na nowo przyznano mu urzędowo w r. 1661 i dobra w okolicy Paryża. Z czasem zbudowali Misyonarze przy ulicy St. Denis szereg domów czynszowych, nowe źródło znacznych dochodów.

Były jednak równe tym tysiącznym dochodom wydatki. Św. Łazarz był rezydencyą przełożonych generalnych i całego centralnego zarządu Zgromadzenia. Administracya rozległej z czasem kongregacyi, rozsyłanie Misyonarzy do różnych krajów, do Włoch, do Polski, wysyłanie na misye zamorskie, na Hebrydy, do Berberyi, na Madagaskar; wychowanie i utrzymanie licznego domu, składającego się w czasach blizkich rewolucyi z czterystu osób, t. j. dwustu księży lub kleryków w seminaryum i na studyach, ośmdziesięciu braciszków i stu przeszło różnych stołowników — wszystko to pochłonąćby zdołało największe nawet dochody. Dodajmy do tego misye, najukochańsze dzieło św. Założyciela, trwające nieraz po kilka tygodni, a zawsze na własny koszt Zgromadzenia; dano ich od czasu osiedlenia się u św. Łazarza do śmierci św. Wincentego (1632—1660) około siedmiuset. Policzmy tłumy reko-

[1]) Konferencye i przestrogi św. Wincentego dla członków Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy, str. 76, Nr. 40.

lektantów, przyjmowanych zupełnie bezinteresownie; było ich w ostatnich dwudziestu pięciu latach życia Świętego około dwudziestu tysięcy, a dzieło to trwało nieprzerwanie aż do wielkiej rewolucyi. A cóż powiedzieć o dobroczynności św. Wincentego? Tłumy biedaków, cisnące się do furty św. Łazarza, liczni ubodzy wstydzący się żebrać, tysiące wygnańców angielskich, utrzymywanych jego staraniem, wspieranie całych prowincyi w okresie francuskim wojny trzydziestoletniej i później, Lotaryngii, Szampanii, Burgundyi, Pikardyi, a nawet samych okolic Paryża. Prawda, że te dziesiątki tysięcy, które roznosił w swych pięćdziesięciu czterech wyprawach do Lotaryngii br. Mateusz Renard, płynęły obficie ze szkatuły możnych, zwłaszcza Pań Miłosierdzia, ale i kasa domowa św. Łazarza niejednokrotnie wypróżniła się przy tej sposobności.[1]) Dodajmy nakoniec opiekę nad galernikami i nad niewolnikami w Berberyi i ich wykupywanie.[2]) Znakomite więc były dochody domu św. Łazarza, ale też jak widzieliśmy, nie poszły na marne.

Współcześni historycy zapisują, że dom św. Łazarza był gustownie urządzony. Główne wejście do domu przedstawiało się okazale. Wewnątrz jedną z największych i najpiękniejszych sal był refektarz, a w nim panował ład wzorowy, schludność i grobowe milczenie, choć przeszło 200 osób tam nieraz zasiadało. W głębi sali ponad miejscem, które zajmował przełożony generalny, zawsze w pośród dwu ubogich, najczęściej starców ze szpitala Imienia Jezus, wisiał pyszny obraz, niewiadomego autora, przedstawiający Potop, a oprócz tego kilka innych. W oratoryum duży obraz „Zdjęcie z krzyża". W innych salach rozmieszczono nadto szereg portretów papieży, kardynałów, biskupów, dobrodziejów itd. W sali konferencyjnej wisiało sześć obrazów szkoły Weneckiej, przedsta-

---

[1]) Por. Bougaud, l. c. t. II., ks. IV.; Em. de Broglie, St. Vincent de Paul, r. X., str. 149 itd.

[2]) Żywot św. Wincentego, wydany przez ks. Fournier, pod imieniem bpa Abelly'ego, opowiada, że niewolników tych w Tunisie i Algierze od r. 1646 do 1664 uwolniono tysiąc dwustu.

wiających proroków. Godną widzenia była też dobrze urządzona apteka.—Wielką uwagę zwracała przedewszystkiem bogata biblioteka, zasobna zwłaszcza w dzieła o treści teologicznej. Nowe książki wciąż zakupywano. Utrzymywano ją starannie i trzykrotnie sporządzano dokładny katalog dzieł wszystkich. W czasie napadu na św. Łazarz, liczono w niej około 20 tysięcy tomów. Ucierpiała wiele w czasie rabunku z 13. lipca 1789; a co zostało, przeniesiono do biblioteki im. Mazariniego,

Jak w kolegium des Bons-Enfants zaczął św. Wincenty wszystkie niemal swoje dzieła, tak dawny dom św. Łazarza patrzał na wspaniały ich rozkwit. Tutaj także Zgromadzenie ostatecznie się uorganizowało. Zatwierdzone przez Urbana VIII. wprowadzało zwolna pod okiem św. Wincentego swoje reguły, zwyczaje i praktyki pobożne, osnute na dwóch myślach przewodnich, z głębokiej mądrości i długoletniego doświadczenia św. Założyciela płynących: *Evangelizare pauperibus misit me* (Luc. IV., 18) oraz *Ama nesciri et pro nihilo reputari* (1 Imit. II. 3). Ostateczną redakcyę Reguł odkładał św. Wincenty roztropnie. A jak we wszystkich ważniejszych sprawach nic nie przedsięwziął bez porady, tak co do ostatecznego ukonstytuowania Zgromadzenia wzywał przedstawicieli wszystkich swoich synów, nawet z najdalszych stron, na narady. Dwukrotnie zbierali się u św. Łazarza delegaci wszystkich domów, w r. 1642 i 1651. Owocem tych usiłowań było ostateczne załatwienie wielu spraw najwyższej doniosłości, jak ukonstytuowanie centralnego zarządu, rady przybocznej przełożonego generalnego, konwentów generalnych, podział Zgromadzenia na prowincye,[1]) a zwłaszcza wprowadzenie czterech ślubów prostych[2]) i układ reguł. Dopiero wszakże dnia 17. maja 1658 r., na konferencyi piątkowej, rozdał św. Wincenty pierwsze egzemplarze drukowanych Reguł wspólnych Zgromadzenia; a rzewną nadzwyczaj mu-

---

[1]) Circulaires des Sup. gén. t. I., str. I. i VIII.

[2]) Zatwierdzone przez Aleksandra VII., br. „Ex commissa Nobis“ 22/IX. 1655 (*Acta apostolica*, str. 16).

siała być ta scena, kiedy jeszcze dzisiaj nie bez silnego wzruszenia odczytujemy opis zdarzenia tego.[1])

Z początku wstępowali do Zgromadzenia sami kapłani, a na Misyonarzy kształcili się praktycznie, wpatrując się w życie Świętego i słuchając jego wskazówek, a tak samo wyrabiali się braciszkowie. Z tego powodu jednak zbyt szczupły był zrazu przyrost członków Zgromadzenia. W r. 1637 zakłada św. Wincenty Seminaryum Internum czyli nowicyat u św. Łazarza, a jednym z pierwszych seminarzystów, którzy odbyli regularną dwuletnią próbę, był późniejszy następca Świętego, ks. Renat Alméras. Odtąd też coraz tłumniej zgłaszali się kandydaci, a liczba członków rosła potężnie. Nic dziwnego też, że przy śmierci Założyciela (1660) było 622 członków w 26 domach. A rozchodzili się od św. Łazarza nietylko po różnych prowincyach francuskich, ale udawali się i w dalsze strony: do Włoch (1638), do Tunisu (1643), do Algieru (1646), do Irlandyi i na Hebrydy (1646), na Madagaskar (1648), do Polski (1651).

Po śmierci św. Założyciela coraz bardziej rozrastało się Zgromadzenie. Dowodem na to, że już w r. 1708, za rządów ks. Franciszka Watel liczyło całe Zgromadzenie 1020 członków w 80 przeszło domach, podzielonych na 9 prowincyi; a w r. 1789 miało w samej Francyi 77 domów, podzielonych na 7 prowincyi, paryską, szampańską, akwitańską, bretańską, lyońską, w Pikardyi i w Poitou, a 824 członków.

Zagranicą było Zgromadzenie również szeroko rozgałęzione. Nie było już wprawdzie Misyonarzy na Madagaskarze i w Irlandyi — miało to nastąpić dopiero w w. XIX. — ale za to było Zgromadzenie w Hiszpani od r. 1704, w Portugalii od r. 1714, od tegoż roku na wyspie Bourbon, a od r. 1721 na Il de France. Po kasacie Towarzystwa Jezusowego (1773) Zgromadzeniu przypadła w znacznej części jego spuścizna. Już w r. 1781 wezwał je elektor Karol Teodor

---

[1]) Konferencye i przestrogi św. Wincentego, nr. 82.

do Palatynatu nadreńskiego na objęcie kolegiów pojezuickich w Mannheim i Heidelbergu; a w r. 1783, na wyraźne życzenie Ludwika XVI., a dekretem Propagandy z d. 7. grudnia tegoż roku, otrzymało Zgromadzenie misye pojezuickie w Chinach i t. zw. lewantyjskie (pod panowaniem tureckiem). Nie licząc, jako niestałych jeszcze podówczas placówek apostolskich w Chinach i chwilowo osiedlonych Misyonarzy w Goa, miało Zgromadzenie w r. 1789 poza Francyą domów 115, w Polsce 25, we Włoszech 52, w Hiszpanii 4, w Portugalii 6, w Palatynacie 3, w Algierze 1, w obrębie misyi lewantyjskich 8, na wyspie Bourbon 11 (parafii) i na wyspie Il de France 5 (parafii).

Jak we Francyi, tak i zagranicą miały zawieruchy polityczne i prześladowania religijne prędzej czy później na długie lata podciąć ten rozwój pomyślny. Zaczęło się od domu Macierzystego.

Olbrzymią posiadłość św. Łazarza zagarnął rząd rewolucyjny w sierpniu 1792 na własność narodową. Zabudowania główne zamieniono na więzienie, w którem jęczało do tysiąca dwustu więźniów, wśród nich poeci Roucher i Andrzej Chénier, którzy z więzienia szli wprost pod gilotynę.

Dziś jest tam więzienie dla kobiet, od r. 1850 obsługiwane przez zakonnice.

W roku 1902 rada departamentu sekwańskiego (do którego św. Łazarza przydzielono w r. 1811) uchwaliła pięć milionów franków na zburzenie wszystkich zabudowań, a miejsce ich ma zająć tak konieczna w tem miejscu obszerna ulica lub też skwer wspaniały.

Tak zniknie druga najdroższa pamiątka Zgromadzenia w Paryżu. — Pozostały tam jeszcze szczątki naszych Przełożonych generalnych z przed wielkiej rewolucyi w podziemiach dawnego kościółka św. Łazarza. Obecnie robią starania, żeby te czcigodne prochy przenieść na inne bezpieczniejsze miejsce.

(Dokończenie nastąpi). *Ks. J. Weissmann.*

Schematyzm Zgromadzenia z r. 1708.

Roczniki francuskie (*Annales 1908, Nr. 4*) zamieściły Schematyzm Zgromadzenia z przed dwustu lat, znaleziony w rękopisie w bibliotece im. Mazariniego w Paryżu, p. n.: *Ordre géographique et chronologique des maisons de la Congrégation de la Mission en l'année 1708.*

Wylicza dokładnie 9 ówczesnych prowincyi Zgromadzenia wraz z domami, z datą założenia każdego, podając dokładnie liczbę członków każdego domu oraz główne ich zajęcia.

Jako cenny materyał do porównania z dzisiejszym stanem podajemy cały ten schematyzm w przekładzie.

1. PROWINCYA RZYMSKA.

1.	*Rzym: Monte Citorio* (1642). Rek. przed święc., misye	ks. 15,	br. 5[1])
2.	„ *Św. Jan i Paweł* (1700). Seminaryum Inter.,	„ 6,	„ 2
	praca przy kościele	kler. 12,	sem. 12
3.	„ *Akademia „dei nobili ecclesiastici“* (1704) .	ks. 3,	br. 2
4.	„ *Kolegium Propagandy* (1704)	„ 2,	
5.	*Neapol* (1669). Rekol. przed święc., misye . . .	„ 12,	„ 4
6.	*Peruggia* (1680). Misye	„ 6,	„ 2
7.	*Macerata* (1686). Rekol. przed święc., misye . .	„ 5,	„ 2
8.	*Florencya* (1703). Rekol. przed święc. i dla innych osób, misye, seminaryum . . .	„ 12,	„ 4
9.	*Fermo* (1704). Seminaryum	„ 4,	„ 2
10.	*Awinion.*		

2. PROWINCYA LOMBARDZKA.

1.	*Genua* (1645). Seminaryum Internum, seminaryum	ks. 14,	br. 8
	dyecezyalne, misye	kler. 8,	sem. 4
2.	*Turyn* (1654). Seminaryum, misye	ks. 8,	br. 4
3.	*Bastia* (1678). Rekol. przed święc., misye . . .	„ 8,	„ 4
4.	*Reggio* (1680). Seminaryum, misye	„ 6,	„ 4

[1]) Ks. = księża, br. = bracia, kler. = klerycy na studyach teologicznych lub filozoficznych, sem. = klerycy w Seminaryum Internum czyli w nowicyacie.

5. *Pawia* (1682). Seminaryum, misye	ks.	6, br.	4
6. *Ferrara* (1697). Misye	„	5, „	4
7. *Cremona* (1703). Rek. przed święc. i dla innych, misye	„	4, „	2

3. PROWINCYA PARYSKA (*pr. de France*).

1. *Paryż: Kolegium des Bons-Enfants* (1625). Seminaryum	ks. kler.	5, br. 2,	3
2. „ *Św. Łazarz* (1632). Seminaryum Internum, rekol. przed święceniami, misye	ks. kler.	40, br. 40, sem.	66 50
3. *Crécy* (1644). Misye	ks.	4, br.	2
4. *Fontainebleau* (1661). Misye, parafia	„	10, „	5
5. *Wersal* (1674). Parafia, praca przy kościele . . .	„	26, „	3
6. *Paryż: Szpital Inwalidów* (1675), Parafia . . .	„ kler.	12, „ 8, sem.	4 8
7. *Chartres* (1680). Seminaryum	ks.	5, br.	4
8. *Saint-Cloud* (1688). Obsługa kościoła i szpitala .	„	5, „	2
9. *Saint-Cyr* (1690). Obsługa kościoła, misye . . .	„	5, „	6

4. PROWINCYA POITOU.

1. *Richelieu* (1638). Misye, parafia	ks.	10, br.	7
2. *Luçon* (1638). Misye	„	5, „	3
3. *Le Mans* (1645). Seminaryum, misye	„	12, „	6
4. *Saint-Méen* (1645). Seminaryum, misye, parafia .	„	10, „	7
5. *Tréguier* (1654). Seminaryum	„	5, „	3
6. *Saint-Brieuc* (1666). Seminaryum	„	3, „	2
7. *Angers* (1675). Seminaryum Internum, misye . . .	„	3, „	1
8. *Fontenay* (1676). Misye	„	4, „	2
9. *Tours* (1680). Seminaryum	„	3, „	3
10. *Poitiers* (1681). Seminaryum	„	4, „	3
11. *Saint-Paul-de-Léon* (1689). Seminaryum	„	3, „	2
12. *Vannes* (1701). Seminaryum	„	4, „	2

5. PROWINCYA PIKARDYJSKA.

1. *Amiens* (1662). Seminaryum, misye	ks.	7, br.	3
2. *Noyon* (1662). Seminaryum	„	4, „	3
3. *Arras* (1677). Seminaryum	„	4, „	4
4 *Beauvais* (1679). Seminaryum	„	4, „	4
5. *Boulogne* (1681). Seminaryum	„	4, „	3
6. *Bayeux* (1682). Seminaryum, szpital	„	5, „	3
7. *Notre-Dame-de-la-Délivrance* (1692) Misye . . .	„	3, „	2

6. PROWINCYA SZAMPAŃSKA.

1. *Toul* (1635). Seminaryum, parafia, szpital	ks.	12, br.	6
2. *Troyes* (1638). Seminaryum, misye	„	6, „	3

3. *Sedan* (1643). Seminaryum, misye . . . . . . ks. 9, br. 4
4. *Montmirail* (1644). Misye . . . . „ 4, „ 1
5. *Metz* (1661). Seminaryum, misye . . . . . . „ 9, „ 5
6. *Sens* (1675). Seminaryum . . . . „ 4, „ 4
7. *Auxerre* (1680). Seminaryum . . . . „ 4, „ 4
8. *Châlons* (1681). Seminaryum . . . . „ 4, „ 3
9. *Dijon* (1682). Misye . . . . „ 6, „ 2

7. PROWINCYA WARSZAWSKA.

1. *Warszawa* (1651). Seminaryum Internum, seminaryum ks. 8, br. 5
dyecez., parafia, szpital . . . kler. 8, sem. 12
2. *Chełmno* (1677). Seminaryum, misye, parafia . . ks. 5, br. 2
3. *Kraków-Zamek* (1682). Seminaryum . . . . . „ 3, „ 3
4. *Kraków-Stradom* (1686). Misye, rekol. przed święc. „ 3, „ 3
5. *Wilno* (1687). Seminaryum, misye . . . . . . „ 4, „ 2
6. *Przemyśl* (1687). Seminaryum . . . . „ 3, „ 3
7. *Łowicz* (1689). Misye . . . . - . . . . . . „ 3, „ 2

8. PROWINCYA LYOŃSKA.

1. *Annecy* (1639). Seminaryum, misye . . . . . . ks. 8, br. 5
2. *Marsylia* (1643). Seminaryum, misye, szpital . . „ 6, „ 4
3. *Lyon* (1668). Seminaryum Internum, misye, obsługa „ 6, „ 5
kościoła . . . . kler. 12, sem. 10
4. *Narbonne* (1671). Seminaryum, misye . . . . . ks. 8, br. 4
5. *Saint-Flour* (1673). Seminaryum . . . . „ 4, „ 3
6. *Béziers* (1678). Seminaryum, misye . . . . . . „ 6, „ 3
7. *Aleth* (1678). Seminaryum, misye . . . . „ 3, „ 2
8. *Manosque* (1685). Seminaryum . . . . „ 3, „ 2

9. PROWINCYA AKWITAŃSKA.

1. *Notre-Dame-de-la-Rose* (1637). Misye, kościół . . ks. 7, br. 3
2. *Cahors* (1643). Semin. Inter., semin. dyecez., misye, „ 10, „ 6
parafia, szpital . . . . kler. 2, sem. 11
3. *Saintes* (1644). Seminaryum, misye . . . . . . ks. 9, br. 4
4. *Agen* (1650). Seminaryum . . . . „ 4, „ 3
5. *Montauban* (1652). Seminaryum, misye . . . . „ 5, „ 3
6. *Bordeaux* (1682). Seminaryum, misye . . . . . „ 8, „ 4
7. *Sarlat* (1683). Seminaryum, misye . . . . . . „ 5, „ 3
8. *Rochefort* (1683). Seminaryum, parafia, szpital . . „ 14, „ 3
kler. 2,
9. *Pau* (1683). Seminaryum . . . . ks. 4, br. 3
10. *Angoulême* (1704). Seminaryum . . . . „ 4, „ 2
11. *Notre-Dame-de-Buglos* (1705). Misye, kościół . . „ 5, „ 2

DOMY NIE TWORZĄCE JESZCZE PROWINCYI.

W Algierze (1645). Opieka nad niewolnikami . . .	ks.	2, br.	1
W Chinach (1703). Misye	„	3, „	1
W Barcelonie w Hiszpanii (1704)	„	4, „	2

PODZIAŁ DOMÓW WEDŁUG PRACY.

Seminaryum Internum	w domach	8
Seminaryum dyecezyalne	„	52
Misye	„	48
Rekolekcye przed święceniami	„	8
Parafia	„	9
Obsługa szpitali	„	7
Obsługa kościołów	„	6

OGÓŁEM:

Domów wszystkich		80
Członków Zgromadzenia		1020[1])
Księży		550
Kleryków	na studyach	90
	w seminaryum	80
Braci		300

NB. Dla porównania dodajmy, że z początkiem r. 1900 liczba wszystkich członków Zgromadzenia wynosiła 3.249, w styczniu 1908 zaś 3446.

---

[1]) Liczby podane są w zaokrągleniu.

KRONIKA.

Włochy. — *Sassari (na Sardynii).* Z listu ks. Manzelli, przytoczonego w zeszłym numerze, opowiadającego o działalności Ks. Ks. Misyonarzy i S. S. Miłosierdzia na Sardynii, wyjmujemy jeszcze dalszych kilka szczegółów. — Oprócz misyi i pracy nad rekolektantami zajęci są jeszcze Ks. Ks. Misyonarze w seminaryum archidyecezyalnem w Sassari, a nadto niosą posługi duchowne Siostrom i wraz z niemi pracują nad stowarzyszeniami Pań Miłosierdzia i Dzieci Maryi,

Kiedy Konfratrzy w r. 1879 przybyli do Sassari, oddał im świątobliwy biskup Marongin w opiekę swoje wielkie i małe seminaryum. Dziesięć lat oddawali się tej pracy, zajmując szczupłe ubikacye, przylegające do głównego gmachu seminaryjnego. Przeniósłszy się później do własnego domu, służyli nadal seminarzystom czy to w tygodniowej spowiedzi św., czy przez nauki i konferencye, czy też dając im rekolekcye roczne albo przed święceniami. Gdy w r. 1905 objął rządy dyecezyi konfrater nasz, ks. arcybiskup Parodi, postanowił cały zarząd seminaryum duchownego powierzyć Misyonarzom, a nawet umieścił ich w seminaryum. Jesienią tegoż roku przenieśli się więc Misyonarze do gmachu seminaryjnego, ku wielkiemu zadowoleniu całego duchowieństwa i alumnów. Odtąd mamy w Sassari dwa domy, a w nich ośmiu księży i dwu braci oddaje się pracy swego powołania.

S. S. Miłosierdzia są w Sassari już od r. 1856. Chociaż gorliwie pracowały, miały do niedawna jeszcze na całą Sardynię tylko trzy domy w Sassari z trzydziestu Siostrami. Obecnie jest w samem mieście domów siedm, a w okolicy dziesięć. Głównym domem jest dom sierót w Sassari;

tam każda nowo przybywająca Siostra spędza pewien czas, a następnie co roku przybywa na rekolekcye, a nawet częściej dla różnych spraw, a zawsze z największą radością, jako do swego centrum.

Wspaniale rozwija się stowarzyszenie Pań Miłosierdzia. W roku przyszłym będzie obchodziło pięćdziesięciolecie swego założenia, a dziwnym trafem liczba powstałych grup doszła w tym roku jakby dla uczczenia jubileuszu do symbolicznej cyfry pięćdziesięciu. Zrazu rozwijały Panie Miłosierdzia swą działalność tylko w miastach, w Sassari i w Cagliari, od r. 1901 zaczęły sięgać dalej, do biednych wieśniaków; a dziś już oglądać można i tam błogie skutki ich pracy. W roku zeszłym zebrano dla biednych jak na ubogą Sardynię nadzwyczaj pokaźną sumę 25.833 franków. To też ubodzy dziś błogosławią wszędzie św. Wincentego i duchowne jego dzieci.

W święto Cudownego Medalika 1907 święcono w głównym domu S. S. Miłosierdzia w Sassari pięćdziesiątą rocznicę założenia Dzieci Maryi. Od początku już gromadziło się u stóp Maryi mnóstwo panien, a przedewszystkiem wychowanki i sieroty z domów siostrzyńskich. Dziś jest ich w Sassari około pięciuset. — A stamtąd rozchodzi się to stowarzyszenie na całą wyspę; gdzie tylko jest dom Sióstr, wszędzie też jest liczny zastęp Dzieci Maryi.

Dla studyującej młodzieży męskiej założył ks. arcybiskup Parodi t. zw. *Kółko im. Sylwiusza Pellico.* W niedziele mają zebrania w pałacu arcybiskupim, słuchają mszy św., nauki i otrzymują błogosławieństwo Najśw. Sakramentu. W ciągu tygodnia mają cztery wykłady, dwa dla wyższych kursów, dwa dla niższych. Sale Kółka są codziennie otwarte. Są także dla młodzieży gry, zabawy. — To także pole pochłaniające czas i siły konfratrów naszych w Sassari.

W kościółku swym w Sassari mają także konfratrzy wiele pracy, mnóstwo spowiedzi w niedziele i święta. Na mszy św., na kazaniach jest kościół przepełniony wiernymi różnego stanu i wieku.

Austrya. — *Misye Konfratrów prowincyi austryackiej wśród Słowieńców w północnych Włoszech.* Z listu ks. Wincentego Krivec z 5. lutego 1908 dowiadujemy się następujących szczegółów. Od 5. do 26. stycznia b. r. odprawił on wraz z drugim konfratrem trzy misye dla 35 tysięcy Słowieńców na stokach gór, w trudno przystępnych wioskach w dawnej rzeczypospolitej weneckiej, a później pod panowaniem austryackiem żyjących. Jest to uboga, ale pełna głębokiej wiary ludność. Rok rocznie na wiosnę wędrują niemal wszyscy mężczyźni, a nawet młodzieńcy od 13 roku życia, za granicę na zarobek, do Serbii, do Niemiec, do Ameryki. Ponieważ na obczyźnie nie mają sposobności do przyjmowania Sakramentów św., a nawet i mszy św. słuchać nieraz nie mogą, z tem większym zapałem korzystają z pociech religijnych zimową porą w czasie czterech miesięcy względnego wypoczynku w domu. Codzień niemal idą pieszo do odległego kościoła na mszę św., a co miesiąc przystępują do spowiedzi i Komunii św. W niedziele i święta trzydziestu do czterdziestu mężczyzn śpiewa w czasie sumy w presbyteryum łacińską mszę św. z pamięci. Pierwsza misya od 5. do 13. stycznia była we wsi Platišče, liczącej około 800 dusz. Ludność z całym zapałem brała udział w misyi. Rzewną zwłaszcza była scena, gdy w piątek (10. stycznia) wieczorem zadzwoniono z dzwonicy na znak chwili pojednania; wówczas wszystko spieszyło od domu do domu, przepraszając się wzajemnie. Jak z radością witano Misyonarzy, tak z końcem misyi zaledwo wyrwać się oni zdołali z pośród szlochającej ludności, która na pożegnanie wołała za nimi: „Niech żyje święta misya!“ Od 13. do 17. pracowali Konfratrzy w parafii Prosenicco, a lud z tą samą wiarą i gorliwością w niej uczestniczył. Tak samo było w osadzie Čenebola (od. 17 do 26. stycznia). Wszędzie radość płaczem przeplatana świadczyła o dobrem usposobieniu tego ludu biednego.

Macedonia. — *Zeitenlik.* — O działalności naszych Konfratrów dowiadujemy się z listów ks. Superyora Cazot następujących szczegółów. Według ostatniej statystyki było

w misyi Zgromadzenia wpośród Unitów bułgarskich 26 wiosek w całości lub częściowo katolickich, 5948 katolików, 21 kościołów lub kaplic, 35 księży lub popów, 17 szkół męskich z 21 profesorami i 566. uczniami, a 10 szkół żeńskich z 516 uczenicami.

Głównem zajęciem w Zeitenlik jest praca w seminaryum dla wychowania bułgarskich młodzieńców na kapłanów. W r. 1885 założone przechodziło wiele chwil bolesnych, nim doczekało się słabych bodaj wyników. Dopiero w r. 1900 wyświęcono dwóch pierwszych seminarzystów. A tak tam potrzeba dobrego duchowieństwa. Dotychczasowy pracownik w winnicy Pańskiej, pop, choćby najlepszy, nie mógł tego uczyć, czego sam nie wiedział. Żądać od niego można było zaledwie, aby odprawiał mszę św. i udzielał sakramentów. W r. 1901 wyświęcono znowu trzech, było więc pięciu w przeciągu dwu lat. A dawali rękojmię lepszej nadziei na przyszłość, bo przebyli około dwanaście lat w seminaryum, a więc pobożni, wykształceni, przejęci duchem katolickim. Za nimi poszli inni. Z początkiem r. 1908 było uczniów pięćdziesięciu sześciu ; z tych siedmiu uczy się rozmaitych rzemiosł, czterdziestu pięciu na kursach niższych, dwóch na filozofii, a dwóch na teologii. — Pracuje nad nimi obecnie dziesięciu Misyonarzy, pięciu braci i trzech profesorów świeckich. — Całe utrzymanie daje się kosztem domu.

Najwięcej trudności nastręcza dobór odpowiednich kandydatów. Stan bowiem duchowny, wzgardzony przez bogatszych i wykształceńszych, nie nęci wcale. Brak wychowania religijnego i nauki, wielkie ubóstwo kapłanów, których jedynym dochodem są drobne stypendya mszalne, nadto ta okoliczność, że rodzice w seminaryum widzą łatwy środek na wychowanie swych dzieci, wszystko to wcale nie przyczynia się do zdobycia wielu powołań do stanu duchownego. To przynajmniej pociesza Misyonarzy, że ci, co księżmi nie zostają, poświęcają się potem pracy w szkole, a przez to robią wiele dobrego.

Nadto gromadzą się w domu naszym w Zeitenlik rok rocznie na rekolekcye nauczyciele ludowi na Boże Narodzenie albo z początkiem roku szkolnego, a duchowieństwo w czasie wielkopostnym.

Z wiosną r. 1907 zaczęli Misyonarze dawać misye po wioskach katolickich. Nigdy przedtem nie zaniedbywali oni swych owieczek. Już od r. 1899 przebiegali ich wioski, starając się wyrywać dusze z nieświadomości. Przy tej sposobności zwiedzali szkoły, doglądali pracy nad wychowaniem młodzieży, mogli się przypatrzeć, w jakim stanie jest kościół, parafia, a także u duszpasterzy dopilnować sumienności w spełnianiu obowiązków. Przy tej okazyi miewali Misyonarze zwykle kazania, słuchali spowiedzi, uczyli katechizmu, odwiedzali chorych. W ten sposób w każdej parafii przyprzynajmniej raz na miesiąc wszystko się do nowego budziło życia. — Nie były to jednak misye we właściwem tego słowa znaczeniu, tylko ekskursye. Dziś już odprawiają się misye prawdziwe coraz częściej. Obok Misyonarzy pracują w Macedonii S. S. Miłosierdzia, a głównem centrum ich działalności jest Kukusz. Taki jest w ogólnych zarysach stan pracy konfratrów w Macedonii, powierzonej Zgromadzeniu w r. 1883.

Persya. — *Urmia.* O położeniu Konfratrów naszych i powierzonych ich pieczy katolików w całej okolicy podają nam listy ks. Delegata Lesné oraz ks. Chatelet nader smutne szczegóły. Wskutek najazdu wojsk tureckich i zajęcia przez nie kilku miast górskich w sierpniu roku zeszłym ucierpieli chrześcijanie tamtejsi nadzwyczaj wiele. A choć później wskutek protestów ze strony perskiej wojska te musiano wycofać, nasłano jednak dzikie hordy Kurdów. Bitne to plemię góralskie, żyjące obecnie pod opieką turecką, rzuciło się ze znaną wściekłością na wioski chrześcijańskie, paląc i rabując kościoły i domy, a mordując mieszkańców; nie oszczędzili też bezbronnych niewiast i dzieci, a nawet dla pośpiechu pędzili je gromadami do rzeki i topili dziesiątkami. — Posunęli najezdcy swe zagony aż pod bramy miasta Urmii. W Babari, wiosce położonej tuż pod Urmią,

wyrznięto niemal całą ludność, a kościół złupiono. Proboszcz ocalał tylko dzięki temu, że zdołał zawczasu wpław przepłynąć rzekę i ukryć się w zaroślach. Niedobitki nawpół nagie i zgłodniałe wciąż nadchodziły do Urmii, z prośbą o przytułek i ratunek — a ks. Delegat Apostolski już prawie, że wyczerpał swe zasoby, o dalsze zaś niewiadomo dokąd się zwrócić.

Jak w Babari, tak dzieje się na całej równinie Baranduz nad jeziorem Urmia. Miesiącami całymi pustoszą Kurdowie okolicę, a rząd perski patrzy na to bezsilnie. Nie zdołano nawet uratować warowni Dole nad jeziorem, bo oddział na prędce utworzonego wojska rozbili Kurdowie w drodze.

Dnia 18. maja napadli Kurdowie na wioskę chrześcijańską Szamszadżan. Chrześcijanie wezwali na pomoc górali okolicznych przyzwyczajonych do walki z bandami kurdyjskiemi, a ci w szczupłej liczbie wnet rozbili silny oddział z 60 ludzi. Ludność tymczasem schodziła się do kościoła i tu u stóp Najśw. Dziewicy błagała o ratunek. Opieka nieba nie zawiodła. Najezdcy ustąpili właśnie w chwili, gdy już obrońcy byliby może zniewoleni się poddać.

Na wieść o tym napadzie zgromadzili się przedstawiciele misyi amerykańskiej, angielskiej, francuskiej i rosyjskiej w konsulacie rosyjskim, a po naradzie postanowili domagać się od gubernatora, żeby ukarał dowódcę Kurdów Mahometbeja oraz zarządził obwarowanie czterech większych wiosek chrześcijańskich: Deza-Tekia, Ardiszai, Szamszadżan i Gutapa, chrześcijanie z innych osad mieli się schronić do tych czterech. Uzyskali przyrzeczenie użycia wszystkich możliwych środków obrony; nie tajno wszakże było, że trudno coś wskórać z Kurdami, skoro za nimi kryje się ręka turecka.

To też już w nocy z 10. na 11. czerwca spadła nowa horda Kurdów na chrześcijan w Babarud i zaczęła je rabować. A następnie posunęli się najezdcy ku Ardiszai, a stąd do Tekia, niszcząc i łupiąc wszędzie biednych chrześcijan. Tu jednak zostali odparci, tracąc do pięćdziesięciu ze swoich. Mszcząc się za to, rzucili się w powrocie ze wściekłością na

mieszkańców Babarud, złupionych już w nocy ubiegłej. Zniszczyli tę wioskę i sąsiednie Sularud.

Na nowe protesty misyonarzy z różnych narodowości poparte przez konsulat angielski i rosyjski, zmusił surowy nakaz generała tureckiego wszystkie hordy kurdyjskie do odwrotu do swych siedzib. Uzyskano też u rządu perskiego, że przysłał kilka oddziałów wojska, a niektórym wioskom chrześcijańskim dostarzył broni i amunicyi; wskutek tego nastał względny spokój. Niewiadomo wszakże, jak długo Kurdowie potrafią dotrzymać posłuszeństwa.

Chrześcijanie, będący pod opieką naszych Konfratrów, są bez dachu, bez chleba, pozbawieni nawet narzędzi do pracy. Oby katolicy pospieszyli z pomocą swym współwyznawcom, jak to czynią różnowiercy, obficie wspierając swe misye w Persyi!

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków — Kleparz. Praca w ostatnim kwartale postępowała tym samym trybem, co poprzednio. Zapisać musimy przedewszystkiem trzy serye rekolekcyi ludowych, w czasie których nasz Kleparz już od dwudziestu sześciu lat staje się niejako gwarnem miejscem odpustowem: dla kobiet (9 — 13 listopada), dla mężczyzn (16 — 18 listopada) i dla dziewcząt (7 — 11 grudnia). Rzecz dziwna, jak lud nasz we wszystkiem do tradycyi przywiązany; pokazało się to, a raczej odbiło, na naszych rekolekcyach. Mężczyźni miewali zwykle rekolekcye pod koniec Adwentu, to też obecnie przybyło ich w terminie naznaczonym zaledwo sześćdziesięciu; ale i dla nich urządzono szereg nauk przez dwa dni. Kobiet było tylko sto pięćdziesiąt, a dziewcząt pięćset pięćdziesiąt. Konfratrzy z trzech domów krakowskich współubiegali się wzajemnie w tej zbożnej pracy. — Poza tem kościół nasz, jak dawniej, wypełnia lud, zwłaszcza biedniejszy; a na kazaniach w niedziele i święta zawsze przepełnienie. Coraz liczniejsze zbieramy owoce dekretu Ojca św. o częstej a nawet codziennej Komunii św., a w tym roku przyczynił się do tego jeszcze

jubileusz Najśw. Maryi Panny z Lourdes; to też już obecnie (w połowie grudnia) liczymy Komunii św. 66.800.

Misye dano w ostatnim czasie dwie: w Strusowie w archidyecezyi lwowskiej od 18. do 25. października pracowali księża Truszkowski i Odrobina pod wodzą ks. Superyora Krzyszkowskiego z Odporyszowa; w Hussowie w dyecezyi przemyskiej dali misyjkę ks. ks. Krzyszkowski i Truszkowski od 26. do 30. listopada. — Nadto dawał Przew. ks. Wizytator rekolekcye klerykom w Seminaryum duchownem we Lwowie, od 26. do 31. października, i dla Sodalicyi pań w Poznaniu od 8. do 12. grudnia. Ks. Superyor Lewandowski prowadził rekolekcye Dzieci Maryi w domu Centralnym S. S. Miłosierdzia na Kleparzu, dokąd się przeniosły w tym roku pod jesień z domu św. Stanisława Kostki (2 — 8 grudnia). Ks. Bieniasz przewodniczył rekolekcyom dziewcząt w zakładzie św. Jadwigi u S. S. Nazaretanek, od 31. października do 2. listopada (przy pomocy ks. Witaszka); a nadto dawał jeszcze rekolekcye w Zakładzie hr. Zamoyskiej w Zakopanem od 15. do 22. listopada. Od 2. grudnia zaś dali dwie serye rekolekcyi w parafii Bożego Ciała w Poznaniu księża Bieniasz i Trzaskowski.

Zanotować możemy seryę wspólnych rekolekcyi, które nasi Księża i Bracia z różnych domów prowincyi odprawiali na Kleparzu w liczbie szesnastu od 18. do 27. listopada, biorąc udział w dwóch pięknych uroczystościach obchodzonych w naszym kościółku, to jest w jubileuszu Ojca św. 22. listopada i w uroczystości Cudownego Medalika 27. listopada.

Z pośród znaczniejszych gości, jacy bawili w tym czasie u nas, wymienić musimy Przew. ks. Emila Villette, prokuratora generalnego naszego Zgromadzenia, który zjechał na konsekracyę kościoła w Tarnowie, jako przedstawiciel O. Generała, a przy tej sposobności zwiedził kilka domów Konfratrów i S. S. Miłosierdzia.

Nakoniec zapisać możemy, jako rzecz miłą dla całej prowincyi, wyjazd Przew. ks. Wizytatora do Rzymu na dzień

16 listopada, na jubileusz Ojca św., gdzie przedstawiał naszą polską prowincyę, a nadto uzyskawszy nadzwyczajną łaskę audyencyi prywatnej przywiózł specyalne błogosławieństwo dla obydwóch rodzin św. Wincentego w Polsce; oraz udział jego w hołdzie duchowieństwa katolickiego we Wiedniu, z okazyi jubileuszu cesarskiego (26 listopada r. b.).

Witków Nowy. *List ks. Superyora Jakóba Koniecznego z dnia 15 grudnia r. b.* Poprzednie sprawozdanie ze stanu tutejszej spółki oszczędności i pożyczek systemu Raiffeisena, oraz ze stanu Kółka rolniczego, umieszczone w Rocznikach przed dwoma laty, zakończyłem słowy: *Adiutorium nostrum in nomine Domini.* I nie doznałem zawodu w tej ufności, gdyż jedno i drugie dzieło przyjęło się i rozwinęło pomyślnie.

Kasa Raiffeisena. — Jak stan Raiffeisenki jest pomyślny, można wnosić z obrotu kapitałowego, który corocznie wzrasta, a w bieżącym roku doszedł do sumy 125.000 koron. Tytułem pożyczki rozeszło się między ludność chrześcijańską z tejże kasy 35.500 koron w tym roku, a w przeciągu sześciu lat niespełna istnienia Spółki wypożyczyliśmy 134.400 kor. Te sumy byłyby stanowiły w rękach żydowskich znaczny obrót kapitałowy; a któż sobie zdoła wystawić, ileby one były im przyniosły zysku przez handel i tytułem procentu, a raczej lichwy tu tak szeroko przez żydowstwo uprawianej. Korzyści zatem ze Spółek raiffeisenowskich materyalne i moralne są olbrzymie. Są naprzód korzyści materyalne. Spółki chronią nasz lud od lichwy żydowskiej. Włościanin i mieszczanin nasz, znajdując się w przykrem a niekiedy w rozpaczliwem położeniu wskutek wypadków nieszczęśliwych lub klęsk elementarnych, zmuszony do zaciągnięcia pożyczki, zgadzał się na wszelkie warunki, stawiane przez żydostwo, które też umiało ssać z niego krew. Był tu wypadek, że pewien żyd brał od wieśniaka co tydzień po 1 złr. od 10 złr. długu — to się równa 520% na rok. A 55% i wyżej było rzeczą zwykłą i powszechnie, lubo skrycie, praktykowaną, nie licząc w to różnych usług, robocizny i drobnych a licznych podarków w naturze. Sąd w Radziechowie ścigał

wprawdzie energicznie tę lichwę, ale wieśniak nigdy nie skarżył lichwiarza, bojąc się i samego sądu i odmowy pożyczki ze strony żydowskiej w razie ewentualnej potrzeby na przyszłość. Z nastaniem Kasy raiffeisenowskiej rzadko chłopek prosi lichwiarza o pożyczkę, bo w Kasie dostanie na $6\frac{1}{2}\%$. Wobec tego i żydostwo musi dla konkurencyi przystępniejsze ofiarować warunki przy udzielaniu pożyczki.

Ci, co posiadają zaoszczędzoną gotówkę, a tych jest nie mało, nawet w tak biednym Witkowie, mają dogodną sposobność ulokowania jej w miejscu bezpiecznem, w rękach sumiennych, kontenci, że grosz nie leży w skrzyni bezczynnie, narażony na kradzież; że nie potrzebują go pożyczać namiętnym, a często nieuczciwym natrętom, ani się później od nich upominać nieraz sądownie o swoją własność, choć często bezskutecznie, jak bywało przedtem. A gdy z końcem roku trzeba procent pobrać lub dopisać go do kapitału, to ciekawość zbiera właściciela wkładki, jak wysoki będzie procent, ile mu przybyło i to go zachęca do oszczędności, do pracy i dobrej gospodarki.

Warunki otrzymania pożyczki są bardzo przystępne w tychże spółkach. Zarząd jednak jest obowiązany czuwać nad tem, aby nie udzielać pożyczki leniwym, marnotrawnym, tylko pracowitym, choćby nawet i bardzo podupadłym, na podniesienie bytu materyalnego, na zagospodarowanie się. To zachęca lud do dobrej gospodarki, do pracy, a blizkim zwątpienia dodaje otuchy.

Korzyści moralne są następujące: Spółka uczy miłości bliźniego i solidarności przez to, że jedni drugich ratują. Właściciele zbędnych pieniędzy, wkładając je do Kasy, pomagają tym, co potrzebują pożyczki; że jedni za drugich ręczą — a wszyscy członkowie Spółki wobec trzecich osób gwarantują całym swoim majątkiem, czyli że wszyscy uczą się nawzajem sobie nieść pomoc w potrzebie wszelkiemi siłami. — Spółka uczy trzeźwości, pracowitości, odwodzi od pijaństwa, bo na sesyi miesięcznej, gdy się uchwalają pożyczki, to Zarząd Spółki uchwala ją ludziom gospodarnym, trzeźwym,

uczciwym, a odmawia skłonnym do pijaństwa, pieniactwa, próżnowania, lekkomyślnym, choćby oni posiadali nawet znaczny majątek.

Te korzyści już są widoczne w Witkowie i w okręgu Spółki tutejszej. Niektórzy wykupili dość duże parcele gruntowe, ba nawet pomogli sobie uzyskaniem pożyczki do wykupna gruntu, zastawionego u żyda, oczyścili hipoteki, pobudowali domki kryte materyałem ogniotrwałym. Są i tacy, co dawniej bywali częstymi gośćmi w karczmie, lecz obecnie bez tej gościny się obchodzą. Kandydatów do pożyczek nam nigdy nie brak, owszem jest ich aż za dużo, przeto możemy sobie powiedzieć, że nasza Kasa stoi świetnie. — A my księża nadto zyskujemy na czci, wdzięczności i zaufaniu u ludu obu narodowości, bo ten czuje, że mu robimy dobrze, prowadząc Spółkę oszczędności i pożyczek, która przez nas założona, prowadzona, u nas w domu umieszczona, nosi — że się tak wyrażę — markę polskich księży w Witkowie. Oczywista, nie może się nasza Spółka jeszcze równać z wieloma innemi Spółkami w kraju, zwłaszcza w Galicyi Zachodniej, gdzie niektóre Raiffeisenki już obracają kwotami milionowemi — ale jak na Witków nowy, taki odludny zakątek, ten stan Spółki jest świetny. Początki, jak wszędzie tak i tu były trudne, bo Witkowianin jest wyrachowany i ostrożny, przeto z niedowierzaniem przypatrywał się powstającej Spółce oszczędności — lecz ta przez sumienną gospodarkę cudzym groszem zdołała sobie pozyskać ogólne zaufanie, za co Bogu niech będą dzięki i chwała.

Kółko rolnicze rozwinęło się także pomyślnie przy pomocy Boskiej, lecz wśród daleko większych trudności — chociaż z drugiej strony jeszcze dziwniej P. Bóg temu dziełu pomagał i pomaga. Owe trudności z różnych pochodziły przyczyn: 1. Z ogólnej przyczyny, że Statut Kółek rolniczych jest bardzo obszerny, nie tak ścisły, jasny, zwięzły, jak statut Raiffeisenek. Kółka rolnicze mają zadanie bardzo trudne, bo celem ich podniesienie poziomu moralnego i materyalnego u naszego ludu przeważnie rolniczego, który to po-

ziom materyalny, jak wiadomo, jest bardzo nizki; a środki do tego celu wskazuje statut rozliczne — działalność więc Kółek rolniczych jest bardzo rozległa. Nie posiadają one podręcznika tak jasnego, tak znakomicie opracowanego, jak spółki raiffeisenowskie. Przeto każde Kółko rolnicze miejscowe musi sobie samo torować drogę, łamać lody, badać warunki rozwoju, stosunki miejscowe i zwalczać przeszkody; a do tego potrzeba dość wielu ludzi światłych, wytrwałych, dobrej woli. — 2. Z przyczyn lokalnych. Ludność tutejsza, od świata odcięta, nie wie, nie widzi, ani słyszy, co się dzieje w świecie, co Kółka rolnicze dobrego zrobiły i wciąż robią. Musieliśmy na pogadankach, w tym celu zwoływanych, opowiadać, co się widziało i czytało w tej materyi. Wszystko to dość podobało się Witkowianom, założyliśmy Kółko rolnicze. Ale skoro tylko przyszło do poboru opłat wstępnych i wkładek rocznych, bez czego żadne stowarzyszenie istnieć nie może, wówczas niektórzy tylko zapłacili, reszta albo się ulotniła, albo obiecała kiedyindziej to uiścić, ale potem ich nikt na zebraniu nie widział. Mawiali sobie tak: „Może to i dobre; ot jak i Kasa dobra jest, ale co tam? biedy nie wypędzi; jak była, tak będzie zawsze bieda na świecie". W spółce oszczędności musi każdy zapłacić koronę wpisowego i 10 kor. na udział, bo inaczej nie będzie mógł być członkiem Spółki, ani korzystać z pożyczek, a w Kółku rolniczem tak mocnej pobudki niema. — 3. Witków nowy ma bardzo ograniczone terytoryum objęte półkołem lasów; przeto gospodarzy kmieciów jest zaledwie kilku; reszta żyje z przemysłu i rzemiosła, najwięcej szewców i bednarzy. To też Kółko rolnicze tu nie ma tak dobrego i odpowiedniego gruntu.

Trzeba było dać Kółku za cel podniesienie materyalne tych rzemieślników przez założenie sklepu, coby ich chronił od wyzysku żydowskiego i podniesienie moralne przez czytelnię. Ale na to przedewszystkiem było lokalu potrzeba. Owóż prawie w środku miasteczka była parcela około 300m^2 powierzchni przyznana przez tutejszą gminę kościołowi i zaintabulowana na jego własność z tego tytułu, że tam przed

stu laty stał kościółek drewniany pod wezwaniem św. Anny i szpitalik dla ubogich. Był więc plac budowlany, ale skąd wziąć fundusz na budowę domu? Pisałem w tym przedmiocie do Pana Marszałka krajowego, jako fundatora naszego domu w Witkowie i właściciela dóbr tutejszych. Alem odpowiedzi długo żadnej nie otrzymywał. Dopiero w r. 1905, gdym pojechał do Radziechowa złożyć uszanowanie przybyłemu tam na wakacye P. Marszałkowi, wtedy on sam nawiązał rozmowę ze mną o owej sprawie i nad wszelkie moje spodziewanie obiecał dać potrzebny fundusz na budowę domu. Dany przezemnie do zrobienia kosztorys domu piętrowego murowanego, opiewał na 28.000 koron. Za wielkim i za drogim zdawał się hrabiemu; w końcu jednak oświadczył, że choć go pieniądze nie świędzą, ale się odpornie nie zachowuje. Plany i kosztorys zabrał z sobą do Lwowa, dał do zbadania p. Weissowi, swemu zaufanemu architektowi, [1] po jakimś czasie przysłał mi je napowrót z listem, że niektóre drobiazgi nie potrzebne p. Weiss skreślił w planach, a kosztorys zredukował do kwoty 25.000 koron, która też będzie mi dana.

Stanął domek murowany piętrowy, najokazalszy we Witkowie, ukończony latem w r. 1907; a dnia 30 września tegoż roku nastąpiło otwarcie sklepu w nim urządzonego. Założeniem jego i urządzeniem zajął się gorliwie p. Stanisław Sadowski, jeden z lustratorów Kółek rolniczych; pozamawiał towary, pozaprowadzał książki. A że towary zamówione przybywały w czasie mej nieobecności, (byłem wówczas na misyach w Płokach i Kościelcu), przeto musiał je odbierać ks. Mixa, który przypadkowo do roboty zaprzężony, nabrał w niej z czasem wprawy i zamiłowania i został dyrektorem sklepu, bo ja z lustratorem przybyłem na samo otwarcie sklepu.

Sklepikarzem był zrazu świecki, przez samego p. Sadowskiego przysłany. Dla różnych jednak względów postanowiliśmy sprowadzić do Kółka Siostry Służebniczki z Dębicy, po poprzedniem porozumieniu się z ks. Arcybiskupem,

z Panem Marszałkiem i z głównym Zarządem Tow. Kółek rolniczych we Lwowie. Koszta skromnego umeblowania poniósł hr. Badeni, który prócz tego zobowiązał się dawać sześć sągów drzewa na opał; na utrzymanie zaś czterech Sióstr daje sklep codziennie 4 litry mleka i 100 kor. miesięcznie. Przełożona sama i inna siostra pilnują sklepu; trzecia prowadzi ochronkę, do której uczęszcza około 40 dzieci, czwarta zajęta w kuchni. Prócz kilku z t. zw. inteligencyi witkowskiej, co nam zrobili małą awanturkę po przybyciu Sióstr, czego się potem sami wstydzili i wstydzą, wszyscy Witkowianie bardzo się ucieszyli z osiedlenia Służebniczek w Kółku, a zwłaszcza z otwarcia ochronki. Rodzice kontenci, że im mała dziatwa nie zawadza w domu i że się czegoś dobrego tam nauczy, chętnie dzieci do ochronki oddają; niektórzy nawet tam dzieciom swoim noszą obiad, choć mają blizko, a dopiero wieczorem zabierają je do domu. I chorych Siostry odwiedzają, a Rusini je pierwsi zaczęli o to prosić.

I teraz znów sklep idzie coraz lepiej, chociaż jeszcze ciężko, gdyż trzeba było inwentarz sprawić; trzeba kredyt, który na połowie towarów cięży, wyrównać; pożyczkę bezprocentową spłacać kwartalnemi ratami. Ale jest mocna nadzieja, że z tych kłopotów sklep powoli wybrnie przy pomocy Bożej i przy sumienności Sióstr. — Położenie sklepu jest także bardzo szczęśliwe.

Towary, których wartość wynosi zwykle około 10.000 koron, są przeróżne; wiktuały, t. j. mąka, kawa, cykorya, herbata, cukier, cukierki, kasze rozmaite, wędliny; wino. Są dalej towary żelazne, naczynia kuchenne, towary norymberskie, jak nici, igły, naparstki, guziki; jest mydło, świece. Najwięcej odbytu mają wiktuały i nafta. Jest też zamiar zaprowadzić sprzedaż towarów bławatnych.

Oczywista rzecz, że sklep i Raiffeisenka są żydostwu tutejszemu solą w oku. Uzyskało ono coś trzy razy po 2.000 kor. zapomogi na zduszenie sklepu naszego swoją konkurencyą — przekupiło sklepikarza, aby na szkodę sklepu działał, a dowiedziawszy się o deficycie, wykazanym przy

lustracyi, rozgłaszali żydzi, że sklep upadł. I przyznać musimy, że walka z żydostwem trudna, ale Bóg z nami. Jest myśl założenia spółki mleczarskiej i spożywczej, celem wybicia się z pod zależności żydowskiej, przy nabywaniu potraw mięsnych, ale jeszcze żadnych kroków nie poczyniono. Istnieje przy Kółku roliczem czytelnia — dość bogata w czasopisma, lecz jeszcze w książki niestety uboga.

Oba te dzieła zajmują nam dużo czasu i chociaż w takiej parafijce liczącej ledwo 800 dusz, jest nas trzech kapłanów, to jednak mamy sposób spędzania czasu pożytecznie, zwłaszcza, że i dziewięć szkół, któreśmy rozdzielili między siebie i wyjazdy z pomocą duchowną pięć razy na dwa miesiące do sąsiednich parafij przy odpustach i urzędy domowe i praca dla siebie pochłaniają także wiele czasu. Jest też i praca w kościele. Lud dosyć uczęszcza do Sakramentów św., rocznie wychodzi około 3.500 komunikantów. Cośmy zrobili, niech będzie ku większej chwale Boga, a korzyści bliźnich!

Rio Claro (Parana). Z listu ks. Kandory, superyora nowego domu naszego w Rio Claro z dnia 28 października r. b. dowiadujemy się, że dwie wspaniałe uryczystości odbyły się w tamtejszym kościele. Dnia 8 września przystąpiło 130 dzieci do pierwszej Komunii św. Uroczystość to była wielka dla całej kolonii. W niedzielę zaś Różańcową przypada odpust w tej parafii, a tegoroczny wypadł bardzo świetnie.

Niestety po raz drugi zagraża znów tej kolonii klęska szarańczy; całe jej chmary niszczą w okolicy wszystkie zasiewy.

Lucena już naprawdę uległa tej klęsce, jak przewidywały dzienniki, a potwierdza list nowo mianowanego superyora tamtejszego domu, ks. Jana Kominka.

Orleans to drugi świeżo założony dom w Paranie, szósta już stacya misyjna wśród naszych emigrantów. Superyorem został w tym domu ks. Chylaszek z Abranches, a jego miejsce zajął ks. Bronny.

Dekreta Stolicy św.

I. *Zyskiwanie podwójnych odpustów przy odmawianiu Różańca.* Ojciec św. Pius X. przychylił się dnia 12 czerwca 1907 r. do prośby kardynała Cretoni, prefekta kongregacyi Obrzędów, żeby można przy odmawianiu Różańca zyskać *odpusty krzyżackie* wraz z t. zw. *dominikańskimi*, byle koronki były udarowane obydwoma rodzajami odpustów.

II. *Krzyżyki SS. Miłosierdzia z odpustem na godzinę śmierci.* Od r. 1886 mają księża Misyonarze władzę nadawania odpustu zupełnego na godzinę śmierci na krzyżyki, którymi posługują się SS. Miłosierdzia przy obsłudze chorych. Chorzy dla zyskania odpustu powinni krzyżyk ten pocałować, a przynajmniej go się dotknąć. Odnośny przywilej odnawia się co lat dziesięć. Przytaczamy ostatni reskrypt z dnia 22 sierpnia 1906 roku:

Superior Generalis Congregationis Missionis et Filiarum Caritatis S. Vincentii a Paulo, ad pedes S. V. provolutus, exponit quod sequitur: Per rescriptum S. Congregationis Indulgentiarum, d. d. 27 Februarii 1886, obtinuit facultatem, pro se et pro Presbyteris suae Congregationis, benedicendi crucifixos, dictis filiabus Caritatis tradendos, iisque plenariam Indulgentiam adnectendi, lucrandam a constitutis in articulo mortis, qui huiusmodi crucifixos a praefatis sororibus porrectos deosculati fuerint, vel etiam tetigerint.

Cum autem terminus praecitati Rescripti, renovati ad decennium, die 4 Augusti 1896 elapsus sit, Orator humillime implorat eiusdem facultatis prorogationem. Et Deus, etc.

SSmus Dnus Pius PP. X. in audientia habita die 22 Augusti 1906, ab infrascripto Card. Praefecto S. Congnis Indulgentiis Sacrisque Reliquiis praepositae, benigne annuit

pro petita prorogatione ad aliud decennium, a die praesentis computandum, servatis forma et tenore primaevae concessionis. Praesenti valituro absque ulla Brevis expeditione. Contrariis quibuscumque non obstantibus.

Datum Romae e Secria eiusdem S. Congregationis, die 22 Augusti 1906.

A. Card. Tripepi, Praef.
D. Panici, Archiep. Laodicen. Secrius.

Pro memoria!

Quoad iurisdictionem ad sacras confessiones excipiendas notandum pro Dioecesi Premisliensi facultatem illam rescripto R. R. Ordinariatus de die 10 huius ad triennium denuo prorogari.

---

†

Ś. p. ks. Izydor Rugenius.

Coraz bardziej przerzedzają się szeregi ostatnich świadków dawnej świetnej prowincyi warszawskiej, raz po raz zapisujemy zgon któregoś z czcigodnych starców naszych, a Schematyzm Zgromadzenia notuje zaledwie kilka nazwisk. Dziś nowa luka, a spowodował ją zgon ks. Rugeniusa. Zapisujemy kilka szczegółów o nim, pióra jednego z jego towarzyszów.

Dnia 19. października r. b. zakończył żywot doczesny ś. p. ks. Izydor Rugenius, kapłan Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy, od lat przeszło dwudziestu administrator parafii Łęki w dekanacie kutnowskim. — Urodził się ks. Rugenius na Litwie, dnia 22. maja 1839. Przygotowany dostatecznie w naukach, wstąpił do Zgromadzenia w 1858. Po rocznej próbie, czyli t. zw. Seminaryum Internum, przeszedł na kurs filozofii, a w rok potem na teologię; po skończeniu studyów otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1863.

Wkrótce po wyświęceniu jedzie z woli ks. Wizytatora Dmochowskiego na stanowisko wikarego w Mławie, w dyecezyi płockiej, gdzie od r. 1712 obsługiwali księża Misyonarze dość liczną parafię. Na tej posadzie zaskoczyła go kasata Zgromadzenia pod zaborem rosyjskim.

Dnia 27. listopada 1864, w pierwszą niedzielę adwentową musiał, jak tylu innych konfratrów czy członków innych zgromadzeń, głodny i prawie nagi opuścić Mławę, by podążyć do Łowicza. Tam przebył jakiś czas, sypiając wraz z licznymi konfratrami, wywiezionymi z Warszawy na słomą zasłanych korytarzach domu misyonarskiego. — Po niejakim czasie przeznaczył go Sufragan warszawski oraz administrator

archidyecezyi ks. Paweł Rzewuski do pomocy choremu proboszczowi parafii w Orłowie, ks. Kasprowiczowi, a po tegoż śmierci na administratora tej parafii. Po kilkunastu latach objął administracyę parafii Łęki, obsługując nadal, dla braku kapłanów, niezbyt odległy od Łęk Orłów. Na pracy w Łękach strawił lat przeszło dwadzieścia.

Nie ubiegał się ś. p. ks. Rugenius o bogatsze beneficya, bo jako pokorny syn św. Wincentego zadowolony był z tego, co miał.

Od lat kilku dotknięty chorobą nieuleczalną, jak mógł, pełnił jeszcze obowiązki przy parafii. W ostatnich miesiącach pomagał mu w pracy wiele zacny jego sąsiad, ks. proboszcz z Orłowa. Przeczuwając blizki zgon, jął się ks. Rugenius budująco gotować na śmierć. W ciągu choroby spowiadał się kilkakrotnie, a w przeddzień śmierci przyjął wijatyk i Oleje święte.

Przed śmiercią rozporządził mieniem swojem uczciwie i sprawiedliwie. Trochę spadku, jaki miał po rodzicach, oddał krewnym, a resztę, którą oszczędził z pracy swej kapłańskiej, rozdał za życia na kościoły, których był administratorem, wyznaczył na swój pogrzeb, na cele dobroczynne, zwłaszcza dla ubogich. Służbie wypłacił za życia, a nawet dodał im nieco, by się za niego modlili.

Pogrzeb miał wspaniały. Zjechało się blizko dwudziestu księży, przybyło także mnóstwo ludu z obu parafii, które obsługiwał. Żal był wielki i szczery, modlitwa zań płynęła gorąca, by mu Bóg za jego zbożną pracę w Kościele Bożym dał światłość wiekuistą.

R. I. P.

Zmarli Misyonarze:

1. Br. Józef Frade, 24. września w Havannie.
2. Ks. Antoni Pessoa, we wrześniu w Bahii (Brazylia), żył lat 33, w Zgromadzeniu 7.
3. Br. Ludwik Ramos, 2. września w Puebla (Meksyk), żył lat 77, w Zgromadzeniu 43.
4. Br. Jan Dussaillant, 2. października w Dax, żył lat 79, w Zgromadzeniu 53.
5. Ks. Mikołaj Licker, 6. października w Metz, żył lat 53, w Zgromadzeniu 29.
6. Ks. Albert Docè, 6. października w Rio de Janeiro, żył lat 66, w Zgromadzeniu 46.
7. Ks. Jakób Saccheri, 5. października w Turynie, żył lat 60, w Zgromadzeniu 43.
8. Br. Jan Stergar, 10. października w Cilli (Austrya), żył lat 75, w Zgromadzeniu 55.
9. Kl. Jan Bernard Destribats, 7. października w Dax, żył lat 21 w Zgromadzeniu 3.
10. Ks. Emanuel Orriols, 18. listopada w Barcelonie, żył lat 72, w Zgromadzeniu 55.
11. Br. Jan Varetto, 26. października w Turynie, żył lat 63, w Zgromadzeniu 38.
12. Ks. Leon Brétaudeau, 13. grudnia w Paryżu, żył lat 45, w Zgromadzeniu 13.
13. Ks. Marcin Uang, w grudniu w Czeng Ujen (Chiny), żył lat 53, w Zgromadzeniu 27.
14. Ks. Izydor Rugenius, żył lat 70, w Zgromadzeniu 50.
15. Ks. Ignacy Wypyski, żył lat 72, w Zgromadzeniu 51.

Siostry Miłosierdzia

z prowincyi krakowskiej:

1. S. Marya Turska, 28. lipca w domu św. Wincentego we Lwowie, żyła lat 71, w Zgromadzeniu 48.
2. S. Antonina Abramowska, 22. listopada w Domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 78, w Zgromadzeniu 48.
3. S. Marta Namysło, 23. listopada w Domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 68, w Zgromadzeniu 43.
4. S. Magdalena Schultz, 28. listopada w Kulparkowie, żyła lat 34, w Zgromadzeniu 10.
5. S. Marya Kraft, 4. grudnia u św. Łazarza w Krakowie, żyła lat 79, w Zgromadzeniu 52.

Zmarłe w prowincyi chełmińskiej w r. 1908:

1. S. Zofia Piotrowska, 28 lutego w Domu Centralnym w Chełmnie, żyła lat 44, w Zgrom. 21.
2. S. Augustyna Edler, 23 marca w szpitalu św. Jerzego w Lubawie, żyła lat 71, w Zgrom. 49.
3. S. Elżbieta Łosińska, 23 kwietnia w Domu Centr. w Chełmnie, żyła lat 27, w Zgrom. 7.
4. S. Anna Zimmermann, 26 czerwca w Domu Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, żyła lat 68, w Zgrom. 47.
5. S. Józefa Chylewska, 2 sierpnia w Domu Centralnym w Chełmnie, żyła lat 22, w Zgrom. 2.

W prowincyi warszawskiej:

S. Helena Morawska, 8 maja w Domu Centralnym w Warszawie, żyła lat 34, w Zgrom. 4.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.